BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

E. SUCHORA, L. FALIŃSKA, E. KANTECKI, J. WENEK, W. AUGUSTYNOWICZ, A. GĄSKA — o gazetach masowych

Z. SIKORSKA — O prawach walki klasowej
W. KOSOBUCKI — O ludziach z bliska
K. KARDYNI — Wiejski Dom Kultury
B. LESMAN — Własna świetlica!
H. WORCELL — III etap Konkursu Czytelniczego
J. DANECKI — Prasa — organizator kultury
R. PSZCZÓŁKOWSKI — Kromka chleba
L. MAJ — O satyrze i karykaturze
J. BAHR — Największy pisarz Tadżykistanu
K. PAŁYS — „Antek" ostrzega!
L. TARUC — Mój naród będzie wolny
G. BIDWELL — Kłopoty USA

Rok X

Warszawa, dnia 31 maja 1953 r.

Nr 22 (4[illegible]8)

WOJCIECH BREOWICZ

W BRAZYLII NAD NUMEREM „WSI"

ZPŁOMIENIEM w źrenicach rozkładam otrzymany przypadkowo numer tygodnika „Wieś" (12-ty za 1953).

Rzadko bywam sam. Tym razem pięćdziesiąt źrenic pochłania szpalty jedynej, dawno nie widzianej gazety z Ludowej Ojczyzny. Wszyscy chcieliby czytać, więc czyta jeden. Piersi nam falują, błyszczą oczy. Gdy „W pieśni nieuczonej" chłopa, Seweryna Skulskiego, zabrzmiała strofa:

„Nad himalajskie On szczyty
wyrósł ludzkości olbrzymiem
u wyzyskiwanych i bitych
na wargach Jego jest imię".

...zaległa cisza, choć nie był to jeszcze koniec wiersza. Głębokim milczeniem złożyliśmy hołd tej prawdzie. Bo im dalej od „stolicy świata", tym wcale nie mniej bujne i potężne fale tego hołdu. Jak masyw w górach andyjskich nie stygnącą lawą rozpalają się serca maluczkich, aby z drugiej strony napełnić przestrachem zgranych do ostatniej nitki podpieraczy walącego się świata. W powszechnej czci, jaką budzi imię Stalina, w strajkach, manifestacjach, wzniesionych pięściach i krzyku murów widzą oni swój nadchodzący kres, przed którym żadne atomy i dżumy nie obronią.

U stóp Andów w tutejszych puszczach, sawannach, ośrodkach przemysłowych i miejskich jest nas wiele milionów, które walczą, aż wybije godzina Jego Imieniem, wpisanym na serc naszych sztandarze — bo na potędze Jego Imienia i Czynu oparł się i trwa cały nasz obecny i nadchodzący Czyn na tej półkuli.

✻

Wyczytaliśmy w korespondencji B. Piątkowskiego, jak to pod Węgrowem „ludzie mówią, że Gierłowski, dobry gospodarz, opowiada się za wspólnotą. On nie zaprzecza, lecz jeszcze się waha".

Wybaczcie nam, zakopanym w puszczach brazylijskich emigrantom. Ale my tęskniącym sercem niecierpliwimy się na taką wiadomość. Mybyśmy pragnęli, aby Waszą twardą chłopską wolą już zostały zaorane wszystkie zagonki i miedze w jedno wielkie staje.

Dziwimy się ob. Gierłowskiemu z gminy Węgrów, że wprawdzie się opowiedział, ale „jeszcze się waha"... Niby przed czym? Przed wspólną budową dobrobytu Polski Ludowej? Dlatego też na zebraniu w naszej dżungli napiętnowaliśmy wrogów z zagranicy, którzy sieją oszczerstwa i rozzuchwalają w kraju kułaków, aby ci z kolei podtrzymywali wahania u dobrych rolników Gierłowskich.

✻

O niezwykła wiadomości... przemknęła w kilku wierszach moja wieś rodzinna Osobnica... jeszcze indywidualna i zaledwie cztery młocarnie.

Wstydzę się za ciebie, rodzinna wiosko moja!

Opuściłem twoją nędzę i kocie ogonki zagonków przed ćwierćwieczem. Jęczałaś wtedy w beznadziejnej sytuacji gospodarczej, uciskana łapami sanacyjnego komisarza — księdza Gliwy! Ale przecież zostawiłem tam wielu postępowych i lewicowych Kośków, Bragłów, Woźniaków, Rolków, Barów, Dybasiów — i innych. Czyżby oni, wyrośli na postępowej myśli dawnej „Ameryki - Echo", „Polskiej Wolności" itp. „zakazanych", zapomnieli piekła toczonych wówczas walk z niesprawiedliwością reakcyjną i obskurantyzmem kleru? W dowód zaciętości tych walk siedzieli niektórzy nawet za kratami (Stanisław Kosiek, brat mój, Józef). Jeśli żyją choćby niektórzy z dawnych moich towarzyszy, to Osobnica winna była pierwsza w powiecie jasielskim podnieść sztandar nowych przeistoczeń, aby już dzisiaj stanowić jasny przykład na polu spółdzielczości produkcyjnej, huczeć zdrowo maszynami i ziarnem, bo kraj potrzebuje obywateli zdrowych i mocnych, wykarmionych dostatkiem chleba — a nie cherlaków, zadufanych i śpiących, bezkrytycznie i niemądrze odpychających od siebie dostojny powiew nowych idei i planów rozwojowych, będących chlubą wszystkich wolnych narodów, które twardą stopą zmiażdżyły zacofanie, nędzę i głupotę.

Wstydzę się za Was, dawni moi towarzysze!

Bo ile każdy z Was mógłby sprawić, gdyby działał tak jak Piotr Doniec spod Racławic. Czytaliśmy jego list ze łzami w oczach, my tęskniący do nowego życia Ojczyzny, emigranci.

„Należę w mojej gminie do aktywu — pisze Doniec. — Chętnie w walce o nowe życie oddałbym własne, sterane kiedyś nędzą i latami podeszłymi. Podjąłem już jedno zobowiązanie, takie że w moim środowisku powstały dwie spółdzielnie produkcyjne. Jedna w rodzinnej mej wsi Dosłońcu.

Śmierć Stalina to straszny żal i ból. Ale trzeba go przekuć w siłę. Trzeba się jeszcze bardziej ubojowić. Po tak bolesnej stracie naszego Ojca i Nauczyciela wydam ze siebie ostatni dech a zorganizuję jeszcze dwie spółdzielnie".

✻

„Ośrodek Maszynowy w Gibach (w zapadłym kącie Suwalszczyzny) dysponuje 10 siewnikami, 2 kopaczkami, posiada kilka kosiarek i snopowiązałek, oprócz tego dużą ilość sprzętu drobnego: pługi, kultywatory, brony..."

Rozmarzyli się nasi emigranci pod Andami.

— Dużo ładniej, jak chłop z płachtą u boku, musi wyglądać siewnik! — powiada starowina Furman, były fornal Potockich z Lubelszczyzny. — Kto to widział „za tamtych czasów"? A siać to musi równiutko, rządkami, wszystkie ziarenka wschodzą i krzewią się, powiększając zbiory. To się opłaci!

A jaka to musi oszczędność w robocie i czasie! Mają się ludziska z czego cieszyć. Chciałbym to jeszcze zobaczyć. Widać, że naród zmądrzał — i już...

— Wrócić by, wrócić!

— Aby tylko zdobyć nieco grosza na drogę... i wizę wyjazdową...

— Że tu nas posucha, zdychaczka inwentarza, szarańcza, drożyzna fabrykatów, podatki — nijak, nijak!

— Jeden traktor ciągnie 4 pługi i dwie brony. Wyraźnie o tym piszą Od razu orze i wlecze. O, patrzcie i czytajcie tu... jeżeli tak się dzieje w Gibach, w Białostockiem, to i gdzie indziej dzieje się to samo, albo jeszcze lepiej!

— Zazdrość bierze człowieka, czy wstyd, cholera!

— Radźmy, sąsiedzi, radźmy. ON przyjdzie i tutaj... Przyjdzie!

✻

Starowina, Marta Barszczewska, w Strachocinie pod Starogardem wykazuje w 74 roku życia tyle prawdziwej miłości Ojczyzny i tężyzny w pracy na terenie spółdzielni produkcyjnej, tyle zrozumienia doniosłości wspólnych wysiłków, że swoją mądrą postawą i obywatelskim czynem zakasuje wielu mężczyzn w pełni sił fizycznych — i dlatego właśnie Jej nazwisko spotkało się na naszym zebraniu z niekłamanymi wyrazami podziwu, szacunku i obywatelskiej czci.

Bo nasze zebranie było naradą utrudzonych ludzi pracy, owianych wskazaniami dobrego gospodarza i nauczyciela mas upośledzonych — bez względu na ich kolor, nację i odległości terenowe.

Oto produkt wspólnego czytania i wspólnej dyskusji nad jednym numerem „Wsi", skromnym podarkiem z Ojczyzny.

Antypody, kwiecień 1953 r.

STANISŁAW KRAKOWIAK

„A głównym realizatorem rewolucji jest nauczyciel..."

MOTORY REWOLUCJI KULTURALNEJ W GMINIE ŁAZNÓW

WIELKIM i twórczym zadaniu wychowawczym naszego narodu Wam, nauczyciele polscy, przypadła rola, którą — wierzę gorąco — potrafi cie wypełnić chlubnie, mobilizując kolektywny wysiłek całej swej organizacji. Tego oczekuje od was naród, tworzący swój nowy byt socjalistyczny, nową kartę swych dziejów. Bądźcie motorem tej wspaniałej i wielkiej rewolucji kulturalnej, która kształtuje dziś życie narodu, pomnażając jej twórcze wyniki..."

ILEKROĆ przypominają mi się te słowa Pierwszego Budowniczego Polski Ludowej, Bolesława Bieruta, tyle razy stawiam pytanie: Jak nauczycielstwo *gminy Łaznów* spełnia tę zaszczytną rolę *motoru rewolucji kulturalnej*, jakie są wyniki naszej pracy, jakie błędy i dalsze plany?

Niech mówią fakty

Szkoła podstawowa w Łaznowie liczy 140 uczniów i 4 siły nauczycielskie. Poziom i wyniki nauczania stawiają ją w rzędzie dobrych szkół. Na tę sprawę zwraca baczną uwagę kierowniczka, *Bronisława Wawszczak*. Drobna, niepozorna a ma sławę bohatera pracy. Likwidacja analfabetyzmu w gminie Będków, to w olbrzymiej mierze jej zasługa.

Pracuje w gm. Łaznów okrągłe dwa lata. Przed nią był chaos, pogłębiany niezgodą „domową" nauczycielstwa i niewłaściwą pracą wychowawczą. Blisko rok kierowniczka Wawszczakowa szukała sposobów powiązania wsi ze szkołą i zlikwidowania miazmatów niechęci do tego wszystkiego, co niesie nauczyciel, książka, szkoła.

Podbiła serca rodziców troską o wyniki nauczania. Dobrze prowadzona świetlica 3 razy w tygodniu po 4 godziny umożliwia najsłabszym uczniom zrozumienie przerabianej lekcji. Nic dziwnego, że dzieci kończą pełną szkołę prawie w 100 procentach.

Wawszczakowa dopracowała się jednego z bardzo dobrych Komitetów Rodzicielskich. Członkowie Komitetu — Jan Marcinkowski, Sabina Iskierka, Irena Jałmużna, sołtys Waszczykowski Antoni i inni, to prawa ręka nauczycielstwa, to pomost ze szkoły do gromady. Z tego pomostu korzysta nauczycielstwo w ramach prac kulturalno-oświatowych, oddziaływających na świadomość chłopów łaznowskich.

Z Komitetu Rodzicielskiego wziął zalążek zespół aktorski, który wystawił w kwietniu br. sztukę Fredry *„Zrzędność i przekora"*, a obecnie w przygotowaniu jest sztuka *„Dziurdziowie"* Orzeszkowej.

Członkowie Komitetu Rodzicielskiego, jak Chmielarski, Malinowski, Glonek, Makowski, nauczycielki: Zofia Malinowska, Elżbieta Pieczyńska przez długie wieczory ćwiczą się i szlifują w rolach aktorskich. Na scenie grają jak prawdziwi artyści. Nic dziwnego, że na przedstawienie wali prawie cała wieś, dopinguje aktorów i żąda nowych sztuk i jeszcze lepszej gry.

A zaczęła się ta „teatromania" od wycieczki dzieci szkolnych wraz z rodzicami do teatru łódzkiego na sztuki A. Fredry — „Zemsta" i „Damy i Huzary".

Wawszczakowa nawiązała kontakt z łódzkim Artosem, który ostatnio wystawiał w Łaznowie przy wielkiej frekwencji (300 osób!) sztukę pt. *„Wiosenna loteria"*. Aktorzy amatorscy z Łaznowa mieli doskonałą okazję podpatrzenia gry prawdziwego teatru i prawdziwych artystów. Po przedstawieniu chłopi oblegli nauczycielstwo, niech robi wszystko, by teatr jak najczęściej przyjeżdżał do Łaznowa.

Bronisława Wawszczak w br. wspólnie z nauczycielstwem rozprowadziła wśród dzieci i rodziców w gromadzie setki książek na sumę 3.100 zł. Poszła masowo lektura szkolna, dzieła Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Słowackiego, życiorys J. Stalina, historia WKP(b), „Matka" Gorkiego i dziesiątki innych.

Sabina Iskierka członek Komitetu Rodzicielskiego, zakupiła do swojej własnej biblioteki dzieła Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej. Takie biblioteki spotkać można u sołtysa Waszczykowskiego, Marcinkowskiego, Chmielarskiego, Malinowskiego i innych. Książka została przez nauczycielstwo doprowadzona pod strzechy.

Kierowniczka szkoły wraz z młodym personelem: Malinowską, Pieczyńską, Parasem dokładają teraz starań, aby podnieść wyniki nauczania, aby ostatni VII oddział zdobył jak najlepsze stopnie. 60 proc. VII klasy kieruje się w tym roku do dalszych szkół, przeważnie zawodowych i elektrotechnicznych, drzewnych, metalowych, do liceum pedagogicznego i do szkoły rolniczej. 40 procent pozostanie na wsi przy rodzicach.

Łaznów nie jest jeszcze wsią uspółdzielczoną. Ale praca nauczycieli poprzez dzieci, Komitet Rodzicielski, przez sztukę, przez odczyty i pogadanki z zakresu wiedzy rolniczej zmierza do pogłębienia świadomości wśród chłopów średniaków i już zarysowuje się możliwość zorganizowania w niedalekich miesiącach co najmniej Komitetu Założycielskiego.

✻

Szkoła podstawowa w Popielawach skupia ponad 200 dzieci i 4 siły nauczycielskie. Kierownikiem szkoły jest *Józef Surosz*. W gminie Łaznow mówią o nim, że to straszny weredyk, ostry jak brzytwa. W istocie — prawda, jest on postrachem wszystkich gminnych kacyków, biurokratów w GS, bumelantów, dwulicowych członków organizacji itp. Oczywiście, że i bogaci chłopi - kułacy i podkułaczający się średniacy nie znajdują w nim przyjaciela. Prowadzi w swej gromadzie zaciętą, ostrą walkę klasową, demaskując bez przerwy tych, którzy kręcą, aby wykręcić się od regulowania obowiązków wobec państwa Dwa lata temu, kiedy akcja skupu zboża w Popielawach szła opornie z winy miejscowych kułaków, Józef Surosz zorganizował do działania dziatwę szkolną. Trójki harcerskie odwiedzały gospodarzy zalegających z dostawą i przypominały im niemal codziennie, że najwyższy czas wywiązać się z obowiązków obywatelskich. Między innymi dzieci trafiły na zapalczywego bogacza Marczyka, który delegację harcerską chciał krzykiem wypłoszyć z podwórka. Nazwały go wtedy dzieci „wstrętnym kułakiem". Ta nazwa — mówił Marczyk później przed Radą Narodową — najbardziej mnie boli. Dlaczego szkoła nie wychowuje dzieci w przyjaźni do *wszystkich* obywateli? Skutek działania dzieci był poważny. Marczyk nie tylko dostarczył zboże, ale i podjął u delegata CUS kontraktację świń. W ubiegłym roku Marczyk był jednym z pierwszych dostawców zboża w gromadzie.

W pracy zarówno w szkole jak i poza szkołą sekunduje Suroszowi jego żona Feliksa. Jest ona II sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR i członkiem Komitetu Powiatowego. Szczególną troską otacza harcerstwo i koło gromadzkie ZMP oraz Koło Gospodyń. Młodszy personel: Kwapiszówna i Kluza wzorują się w pracy na kierownictwie. Zwłaszcza dużo pracy w szkołę i w samokształcenie wkłada Franciszka Kluza — niekwalifikowana nauczycielka. W pierwszych dniach po śmierci J. Stalina zgłosiła swój akces do partii.

W bieżącym roku szkolnym klasa VII liczy 26 uczniów. Z tego 40 proc. idzie do szkół zawodowych, a 60 proc. zostaje na wsi. Dlaczego zostają? Nauka? — mówią chłopi — i bez szkoły zawodowej można dostać się do pracy i też tyle zarobić, co po szkole.

Ze starszych absolwentów szkoły wielu młodych ludzi jest oficerami, jak Jędrzejewski, Trela, Pira. Syn Stanisława Matery studiuje w Leningradzie na budowie okrętów, Sęk i Padyk są w liceum rolniczym,

Pakuła w Technikum Budowlanym, Owczarz pracuje jako technik w Starachowicach i dalej kształci się na inżyniera.

Nauczycielstwo z Popielaw w pracy swej wiąże się mocno z aktywem gromadzkim. Współpracują ze szkołą: Antoni Jędrzejewski, Józef Skrzypczyk, Sęk, Stanisław Matera, Kaczuba i inni. Szkoła jest ośrodkiem oświaty i kultury, kuźnią nowych myśli i sił społecznych w gromadzie.

✻

Nauczycielstwo Rokicin pracuje w szkole podstawowej i w Szkole Zawodowej Drzewnej. Kierownikiem szkoły podstawowej i dyrektorem szkoły zawodowej jest *Józef Feja* — niestrudzony organizator oświaty i życia kulturalnego w Rokicinach i w gminie Łaznów. Przez kilka lat po wyzwoleniu był przewodniczącym GRN i w tym czasie zorganizował średnią szkołę zawodową spółdzielczo - handlową w Rokicinach, przedszkole w Łaznowie i szkołę dla pracujących oraz szkołę rolniczą, która istniała parę lat w Popielawach.

Obecnie prócz obowiązków w szkole bierze czynny udział w gminnej, powiatowej i wojewódzkiej radzie narodowej. Troską jego jest budowa warsztatów, zasadniczej szkoły drzewnej i budowa szkoły podstawowej.

Powstanie *średniej szkoły zawodowej* w Rokicinach zadecydowało o tym, że miejscowość ta stała się ośrodkiem życia kulturalnego. W 1948 r. wybudowany został Dom Ludowy, w którym obecnie mieści się i pracuje dobrze świetlica gminna i kino wiejskie. Gminna spółdzielnia musiała na skutek interwencji młodzieży zorganizować i otworzyć sklep z materiałami papierniczo - piśmienniczymi i książkami. Jest on jedynym dobrze pracującym sklepem w powiecie brzezińskim i zaspokaja coraz lepiej potrzeby kulturalne mieszkańców z pobliskich budowli wodociągów i elektryfikacji kolei.

Nauczycielstwo szkoły podstawowej włączyło się w ślad za swym kierownikiem do pracy zarówno w szkole jak i poza szkołą. Helena Jałmużna bierze co roku wiele godzin w wieczorowej szkole dla pracujących. Maria Kruś również dokształca młodzież pracującą i jest gminną opiekunką sierot. Franciszka Morawcowa poza zajęciami szkolnymi uczy w szkole dla pracujących języka rosyjskiego i prowadzi pracownię biologii i ogródek doświadczalny. Młody nauczyciel, Franciszek Kotus ewicz, ukończył w tym roku zaocznie Liceum Pedagogiczne z wynikiem bardzo dobrym i jest w gminie przewodniczącym zarządu gminnego ZMP.

Nauczycielstwo docenia coraz mocniej wydatną pomoc Komitetu Rodzicielskiego. Komitet ten, na którego czele stoi ob. Genowefa Perkucjusz, rozwinął w szkole zespoły pieśni i tańca, pomaga nauczycielstwu w utrzymaniu świetlicy, w walce o wyniki nauczania itp. Samodzielnie i sprawnie pracujący komitet jest transmisją szkoły na okoliczne wsie.

✻

Nauczyciele PZPR-owcy: Wawszczakowa, Suroszowie, Feja są kierownikami politycznymi swych szkół, gromad i gminy. W nich ma oparcie sekretarz komitetu gminnego, prezydium i inne organizacje. Oni są wzorem pracy dla partyjnych i bezpartyjnych.

Za nimi podążają młodzi nauczyciele. Ich praca nie jest jednak współmierna z możliwościami i siłą, jaką reprezentują. Starsi nauczyciele tłumaczą to tym, że młode kadry nauczycielskie nie są właści-

(Dokończenie na str. 6)

WOJCIECH BREOWICZ

POWIEDZCIE W KRAJU...

Nie tylko radziecki człowiek,
Nie tylko Demokracje Ludowe —
Cały świat pracy pochylił głowę
Trwając w przysięgi słowie...

Nie tylko Amur i Oka,
Nie tylko Jenisiej się żali —
Wiatr łka na Andów stokach —
Bo umarł Wielki Stalin!

✻

Dziś przyszedł czarny człowiek —
W strajku utracił jedno oko —
A gdy czekałem, co powie,
On w oczy spojrzał mi głęboko

I rzekł:
— Faleceu Jose Stalin...
On nam pod Południa Krzyżem
Serca Ideą rozpalił
I kazał drzeć się wyżej...

I kazał drzeć się mocarnie
Z pęt niewolnictwa — do władztwa,
Spopielić wiekowe męczarnie,
Skończyć z ustrojem łajdactwa!

✻

— Czemu płaczesz, żołnierzu Vivali? —
Pułkownik pyta wartownika —
— Płaczę, bo umarł Stalin,
A Brazylię pożera Ameryka...*)

✻

Nie umarł Wódz-Stalin, nie umarł,
Bo żyje w milionach serc zdrowych,
W oceanie pszenicy szumiącym
W pustyni — po raz pierwszy w dziejach...

W przebudowie charakterów i woli
Obywateli nowego świata,
W promieniach szczęśliwej doli —
Gdzie masz nie wroga, lecz brata!

Wielkiego Stalina słońce
Zwycięży mrok ziemi całej —
O tym nam mówią Andy tu trwające,
O tym nam mówi dżungli szum wspaniały!

Antypody, marzec 1953

*) W dniu śmierci Stalina został aresztowany żołnierz Batalionu Straży w Rio de Janeiro, Vivaldo Cabral, urodzony w Arela Branca w Stanie Rio Grande do Norte. Został on „przychwycony" na płaczu za Stalinem, do czego przyznał się otwarcie dodając, że dławi go również drugi żal, ponieważ USA okupują Brazylię.

JANINA BAHR

SADRIDDIN AJNI

(W 75 rocznicę urodzin)

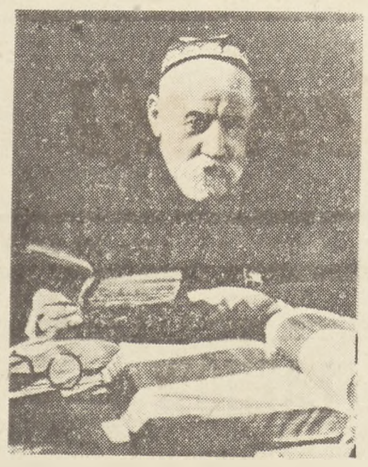

Przez ulice słonecznej Samarkandy przechodzi czasem smagły, siwobrody, niewysoki mężczyzna z gęstą przystrzyżoną brodą. Ubrany jest w białą kamizelę z czesuczy, szerokie białe spodnie wpuszczone w buty i małą, płaską czapeczkę zwaną tam na Wschodzie tubetejką. Często przechodzień ów kieruje się do chłodnej, sklepionej sali grobowca Mur-Emir-Timur, gdzie odwiecznym zwyczajem zbierają się szachiści. Przygląda się wraz z innymi grze, słucha opowieści, bierze udział w rozmowach i żartach. Mieszkańcy Samarkandy mówią do niego: „domułło" — nauczycielu, mistrzu.

Jest to Sadriddin Ajni — wybitny tadżycki pisarz radziecki.

Ajni cieszy się ogromną popularnością w Tadżyckiej i Uzbeckiej Republice. I nic w tym dziwnego. Całe życie tego sędziwego pisarza jak najściślej związane jest ze sprawami obu narodów: tadżyckiego i uzbeckiego. Tadżyków łączyła bowiem z Uzbekami wspólna niedola pod panowaniem emirów bucharskich. Wiele swych utworów napisał Ajni jednocześnie w dwóch językach: tadżyckim i uzbeckim.

W mrocznych czasach feudalnego emiratu bucharskiego Ajni służył narodowi jako poeta, pedagog, działacz oświatowy i społeczny. Dziś bierze czynny udział w socjalistycznym przeobrażeniu swego kraju i całej ojczyzny radzieckiej, jako wybitny powieściopisarz, uczony i członek Rady Najwyższej ZSRR.

W 1950 roku Spółdzielnia Wydawniczo - oświatowa „Czytelnik" wydała autobiograficzną powieść Ajniego pt. „Buchara", w r. 1951 ukazały się w wydaniu „Książki i Wiedzy" opowiadania pt. „Śmierć lichwiarza", a w 1952 r. ujrzeliśmy powieść pt. „Niewolnicy", wydaną przez „Czytelnik". Bodźcem twórczym do ich napisania stało się dla pisarza-patrioty wyzwolenie ojczyzny ze społecznego i narodowego ucisku, wspaniały rozwój kraju rodzimego i jego nowe, piękne perspektywy zakreślane tak szeroko przez władzę radziecką.

Powieść pt. „Niewolnicy" (napisana w 1934 r.) przedstawia to zagadnienie w najszerszych ramach czasowych, bo od 1825 do 1934 roku. Jest ona próbą spojrzenia na ten okres oczami historyka - marksisty, jest próbą przedstawienia i wytłumaczenia zdarzeń, jakie dzieliły ponurą wegetację niewolnika Rachimdada od jasnych i szczęśliwych dni jego wnuka Hassana, przodownika pracy w kołchozie.

Ajni przedstawia tu szczegółowo strukturę tego aparatu ucisku klasowego, jakim było państwo emira. Ukazuje klasowe oblicze tych warstw społecznych, które były podporą władzy emira: duchowieństwa, kułaków i kupców, demaskuje moralną nicość urzędników.

Historia cierpień biedoty tadżyckiej to zarazem dzieje jej walki o wyzwolenie społeczne. Początkowo były to tylko ucieczki niewolników na pustynię, albo pojedyncze głosy protestu. Czasem jednak odruchy rozpaczy doprowadzały do masowych buntów przeciw ciemiężcom. Koniec tych buntów był zawsze ten sam: śmierć na pustyni, lub śmierć w kaźni emira. Emirat był jeszcze zbyt silny i nie do pokonania dla ludzi wiedzionych jedynie rozpaczą. Dopiero wicher rewolucji zmiótł z ziemi bucharskiej emirat i jego sojuszników. Jednak walka o zwycięstwo i całkowite utrwalenie władzy Rad na ziemi bucharskiej była niezwykle ciężka i burzliwa. Toczyła się od 1917 do 1923 roku. Po zburzeniu feudalizmu zaczęły dobijać się o władze elementy burżuazyjno - nacjonalistyczne. Ich program, tzw. dżadidizm, w istocie wprowadzał tylko poprawki do feudalizmu. Ajni w swej książce zdecydowanie rozprawia się z tym kierunkiem.

Ostatnia część książki przedstawiająca okres pokojowego budownictwa pod władzą Rad, zawiera problemy ostrej walki klasowej z kułakami i likwidacji ich jako klasy, sprawę walki o kołchozy, o wychowanie w nich nowego człowieka.

Dzieje powstania Tadżyckiej Republiki Socjalistycznej, dzieje nowego, szczęśliwego rozdziału życia biedniaka Kulmurada i Safar-Gulama wiążą się jak najściślej z imieniem Józefa Stalina. Stalin bezpośrednio kierował ustalaniem narodowościowych granic republik Azji środkowej, Stalin nakreślił im wspaniałą drogę przyszłości w rzucanych przez siebie w 1925 roku wezwaniach do usilnej pracy nad rozwojem przemysłu, rolnictwa i kultury narodowej. Imię Stalina stało się dla ludu tadżyckiego symbolem wielkich zdobyczy, jakie przyniosła im władza radziecka.

To też tadżycki pisarz na ostatnich stronach książki składa hołd wielkiemu nauczycielowi swego narodu.

Wydany w 1951 roku zbiór opowiadań pt. „Śmierć lichwiarza" zawiera utwory z różnych okresów twórczości Ajniego, od 1920 do 1939 roku. Znajdziemy tu pierwszą w literaturze tadżyckiej opowieść o losie biedniaka przed rewolucją październikową „Odina"

Ważniejsze od „Odiny" opowiadanie pt. „Kaci Buchary" przedstawia stolicę emiratu bucharskiego w 1918 r. kiedy to zagrożony zagładą emir i warstwy rządzące chwytają się najokrutniejszych środków terroru dla odwrócenia nieuchronnej klęski. Z opowiadań katów ukazuje się przed naszymi oczami cała zgnilizna warstw rządzących państwa, w którym naczelnik policji jest hersztem złodziei, a emir przywódcą „katów".

„Kaci Buchary", „Odina" i „Niewolnicy" posiadają ogromną wagę poznawczą. Ukazują one po raz pierwszy w literaturze tadżyckiej przeszłość narodu z pozycji proletariackich. Są kroniką narodową XIX i początku XX wieku.

W następnych chronologicznie utworach Ajniego: „Szkoła", „Śmierć lichwiarza" i „Buchara", która nawiązuje bezpośrednio do wspomnień młodości czytelnik natknie się od razu na zjawiska dotychczas u Ajniego niespotykane: na ogromne bogactwo realiów, na doskonałe studia ludzkie, na nową głębszą ocenę przeszłości narodu.

W „Odinie", „Katach Buchary" i „Niewolnikach" o miłości pisarza do ludzi świadczyła pasja z jaką śledził Ajni trudne drogi ich życia, gniew z jakim piętnował zbrodnie klas posiadających. Nie potrafił jednak pisarz wyrazić tej miłości w sposób bezpośredni, w rysunku postaci. Ukazując słuszne prawa ludu do szczęścia i władzy, nie podkreślał Ajni, że źródła tych praw leżą także i w wielkich wartościach moralnych i umysłowych mas ludowych.

Nowe zdobycze artystyczne „Szkoły", „Śmierci lichwiarza" i „Buchary" są rezultatem ogromnej pracy Ajniego nad swym warsztatem pisarskim, są wyrazem większej dojrzałości ideologicznej, są też w pewnej mierze wynikiem umiejętnego nawiązania do realistycznych tradycji literackich, zwłaszcza do pisarstwa Maksyma Gorkiego.

„Śmierć lichwiarza" przedstawia Bucharę końca XIX wieku. Z szeregu ubocznych wątków obrazujących chciwość i pychę wyższych warstw Buchary, na czoło wybija się historia świetności i upadku lichwiarza Kori-Iszkamby.

Kori — Iszkamba nie poprzestaje na normalnym dochodzie lichwiarskim z procentów od pożyczonego kapitału—on po prostu żyje na koszt całego świata. Jada tylko u dłużników, przy których stale niczego sobie nie żałuje. Posługuje się tylko pożyczonymi rzeczami. Jedynym motorem jego działania jest nieograniczona chciwość. Kori nie ma domu, rodziny ani przyjaciół. Jedyne stosunki międzyludzkie, jakie uznaje, to stosunki łączące wierzyciela z dłużnikiem. W tym lichym i marnym człowieku potrafił pisarz ukazać prawdziwego potwora kapitalistycznego, istotę budzącą w oczach czytelnika największą odrazę i sprzeciw.

Nagrodzona w 1950 r. nagrodą Stalinowską powieść Ajniego pt. „Buchara" przedstawia wieś rodzinną i stolicę emiratu bucharskiego za dni młodości pisarza. To co przede wszystkim uderza w tej książce, to wielkie bogactwo typów ludzkich. Na czoło postaci z ludu wybija się piękna sylwetka ojca pisarza.

Postać tę obdarzył Ajni wielkimi zaletami umysłowymi i moralnymi, wyrażając tym całą miłość i wdzięczność dla mądrego przewodnika lat młodości. Ojciec Ajniego, małorolny chłop a jednocześnie stolarz, człowiek światły i brzydzący się kłamstwem stanowi ogromny wiele mówiący kontrast z opisanymi w powieści przedstawicielami klas rządzących.

W rozdziałach poświęconych Bucharze — miastu występuje bogata galeria postaci przewijających się przez ówczesną stolicę: uczniowie medresy *), ich nauczyciele, kupcy i chłopi. Oprowadza nas autor po różnych stronach miasta — po medresie, placu targowym, rzeźni, placu pod pałacem emira.

W „Bucharze" tak jak zresztą w „Szkole" i „Śmierci lichwiarza" Ajni do minimum zlikwidował komentarz autorski. O tym jak wyglądała ówczesna Buchara mówią tu bezpośrednio obrazy z życia jej mieszkańców.

Na pytanie ucznia ,czy jest możliwe, aby astronom Achmad drogą wyliczeń mógł przewidzieć zaćmienie słońca — nauczyciel udziela odpowiedzi: „Uczeni... są uczniami diabła, a Achmad Głowiasty jest ich powiernikiem, oni wszyscy są

(Dokończenie na str. 7)

**) medresa — wyższa szkoła duchowna.*

Opowiadania o współczesnej wsi

ZOFIA SIKORSKA

O PRAWACH WALKI KLASOWEJ

Opowiadania Bocheńskiego pt. „Zgodnie z prawem" *) są na rynku wydawniczym pozycją stosunkowo nową, a jednak do redakcji naszej napływają wypowiedzi świadczące, że w praktyce sporej ilości działaczy wiejskich przyzwyczajonych do stałego kontaktu z książką stały się one już pomocnym narzędziem w ich terenowej pracy. Opowiadania te nasunęły naszym aktywistom przede wszystkim możność skonfrontowania problemów i trudności własnej praktyki z uogólnionym obrazem życia, jaki na podstawie doświadczeń walki klasowej tworzącej się na nowej wsi polskiej stworzył pisarz.

Jednym z typowych przejawów tego rodzaju reakcji na książkę Bocheńskiego jest zamieszczona obok wypowiedź czytelnika, W. Kosobuckiego. Działacz-praktyk ma specjalny stosunek do takiej książki. Szuka w niej wskazówek politycznych, tropi analogie w stosunku do sytuacji własnego terenu, pragnie ją traktować jako użyteczny powszechnie podręcznik walki klasowej. Dlatego też wypowiedź dojrzałego politycznie działacza — bacznego obserwatora może być czasem niezawodnym kryterium realizmu książki, prawdziwości i typowości jej konfliktów, tkwiącej w niej siły realistycznego uogólnienia, czujności pisarza wobec podstawowych spraw czasu. Czytelnik — aktywny bojownik naszej walki o socjalizm, który książkę współczesnego pisarza wykorzystuje praktycznie we własnej pracy, może przeoczyć niekiedy niedociągnięcia czy nawet błędy przynoszonego przez nią obrazu artystycznego, ale jednocześnie wystawia jej najcenniejsze świadectwo: stwierdza, czy zwycięsko zdała ona najsurowszy dla utworu literackiego egzamin — wielki egzamin życia.

„Zgodnie z prawem" stanowi bardzo interesujący argument w żywej dyskusji, jaka wywiązała się wokół jednostronnej „śmiałości" wydanego przed dwoma laty tomu opowiadań J. Kuśmierka pt. „Uwaga! człowiek". Książka Kuśmierka, mimo niewątpliwego talentu i dużej wiedzy o rzeczywistości jej twórcy, była uderzającym przykładem skrzywienia perspektywy widzenia pisarza, nieuzasadnionego pesymizmu autora, nieumiejącego dostrzec, że walka o wydarcie biedniaka spod kułackiego jarzma nie toczy się po linii przypadkowych interwencji przypadkowego gościa w terenie, lecz jest celem wielkiej ofensywy Partii, jest wynikiem stałego wzrostu świadomości klasowej mas ludowych. Kuśmierek przeoczył podstawowe prawo naszego życia, które człowiekowi zgnębionemu i obezwładnionemu przez ucisk wroga klasowego pozwala odgiąć kark i uczyć się walki o swoją przyszłość. Ten problem natomiast w całej rozciągłości podjął Bocheński. Autor nie cofnął się przed żadnym z trudnych problemów współczesnej walki klasowej: odsłonił błędy odpowiedzialnego i niezmiernie cennego pracownika partyjnego, zdemaskował w przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej szkodnika, zasłaniającego się łewackim frazesem: ukazał mękę biedniaka, który tumaniony przez kułaka i zaplątany w zbrodniczą akcję przeciw spółdzielni produkcyjnej, cierpi i wegetuje w nędzy na marginesie bujnego życia spółdzielczej wsi; wskazał na trudności i konflikty, jakie spotykają w życiu ludzi idących drogą nieugiętej walki i „zgodnie z prawem". Ale jednocześnie, odsłaniając słabości i błędy, nasycił zarysowany przez siebie artystyczny obraz rzeczywistości optymizmem i wiarą w ostateczne zwycięstwo jedynie słusznej sprawy.

Tytuł „Zgodnie z prawem" mówi nie tylko o zainteresowaniu autora dla nowych norm moralności i sprawiedliwości, ale także o perspektywie naszego życia. Toczy się ono zgodnie z obiektywnymi prawami rozwoju społecznego — poprzez wszelkie trudności i potknięcia, nieustannie naprzód ku pełnemu wyzwoleniu człowieka i wyplenieniu ostatnich przeżytków niewoli z ludzkiej świadomości. Toczy się też zgodnie z mądrym prawem walczącego ludu — prawem słusznym, bo służącym zwycięstwu; sprawiedliwym, bo nie opartym na schematycznych normach abstrakcyjnie rozumianej sprawiedliwości, lecz na konkretnym układzie potrzeb życia i stosunków międzyludzkich. Ta nowa idea sprawiedliwości socjalistycznej jest jednym z elementów najbardziej interesujących pisarza. Sprawiedliwie odstawił zboże ponad plan biedniak Olejniczak gdyż sytuacja wymagała ofiar, a jednocześnie władza ludowa łamie ciężar gniotących go „alimentów", gdyż, co jeszcze ważniejsze dla niego, unicestwia siłę wroga klasowego. Sprawiedliwa kara śmierci wskutek amnestii nie dosięga zdziczałego mordercy - działaczy partyjnych — tak chcą konkretne warunki polityczne. Dzieci pomordowanych, ze śmierci rodziców czerpią nie ślepą chęć zemsty, lecz siłę do walki o zwycięstwo. Takie jest prawo naszego życia, prawo klasowej walki. Wielkim osiągnięciem pisarza jest to, że je ukazał w splocie trudnych, bolesnych nieraz, bynajmniej nie „klajstrowanych" spraw życia.

Odwaga pisarza biorącego się za bary z trudnościami współczesnej rzeczywistości, jednocześnie nie tracącego z oczu historycznej perspektywy naszej walki, to jedna cecha książki Bocheńskiego rozstrzygająca o jej rzetelnej wartości. Drugą jest bogactwo realistycznego obrazu życia, wielość indywidualnych spraw i pobudek, składających się na typowy i prawidłowy przebieg społecznych konfliktów określonej rzeczywistości historycznej. Bocheński wystrzega się schematycznego, ogólnikowego zarysu sytuacji, jaki panoszy się w ogromnej większości naszych „powieści chłopskich". Pisarz studiuje głęboko właściwości środowiska i okolicy, ukazując swoiste, „terenowe" oblicze ogólnego konfliktu. Trafnie i typowo zarysowana historia szkodnictwa Karolaka w spółdzielni produkcyjnej została wzbogacona i skomplikowana przez wnikliwy obraz specyficznego charakteru obyczajowego i społecznego okolicy, przez sięgnięcie w przeszłość tej klasowej struktury środowiska fornalskiego, gdzie „co folwark, to rodzina". Kontakty Karolaka z rodziną byłych obszarników, z okolicznymi sekciarzami stanowiącymi agenturę obcego wywiadu, uzupełniają skomplikowany, ale niemniej prawidłowy, obraz społecznego układu opisywanego terenu.

Bocheński jest pisarzem posiadającym duże ambicje także i w zakresie psychologicznego portretu człowieka. Jego bohaterowie nie wygłaszają powierzchownych deklaracji, ale istotnie myślą, przeżywają, łamią się wewnętrznie postawieni wobec trudnych problemów życia współczesnego. Sekretarz Wójcik, porucznik Piechna, brygadzista Żuk są bliscy czytelnikowi napięciem przeżyć wewnętrznych, powagą moralnych decyzji. Kułaków Bocheńskiego można odróżnić: rozmiary brzucha i zegarek nie są ich jedynymi cechami charakterystycznymi. Autor spróbował wreszcie zbudować opowiadanie („Rozbitek"), oparte całkowicie niemal na problemie konfliktów wewnętrznych biedniaka tragicznie rozdartego między własnym klasowym interesem, ciągnącym go do spółdzielni produkcyjnej, a bolesną nienawiścią kułackiego manekina, pchniętego przez reakcję do sabotażu. Nowela Bocheńskiego, mimo trafnie uchwyconego problemu, zatraciła jednak właściwe proporcje między obiektywnym obrazem rzeczywistości a subiektywnym przeżyciem bohatera. W sumie jest to próba bardzo ambitna, ale nie pozbawiona błędów.

Bogactwo życiowych obserwacji i niebanalność prawidłowo zarysowanych konfliktów sprawia, że książka Bocheńskiego stanowi wybitnie interesującą i pouczającą lekturę. Wpływa na to także jej bystra „fabularność", umiejętność dramatyzowania konfliktów i sytuacji; dotyczy to w „Zgodnie z prawem" nawet zebrań słusznie zażywających tak smutnej sławy w krytyce dotychczasowych utworów o tematyce wiejskiej. Dramatyzację konfliktów, która uogólnia w najpełniejszy artystycznie sposób przebieg i charakter walki klasowej, Bocheński umiejętnie wzmaga i podbudowuje szybkimi zmianami niezwykle zróżnicowanych sposobów narracji występujących we wszystkich opowiadaniach tomu. Sukces dobrego pisarza, jakim się okazał Bocheński, tkwi także w umiejętności konstruowania świetnego dialogu, wcale nie przesiąkniętego sztuczną „gwarowością", ale oddającego naprawdę specyfikę języka wiejskiego terenu istotnie współczesnego, nasyconego słownictwem dzisiejszej walki politycznej. Bocheński świetnie opanował sztukę przystosowania narracji do sytuacji powieściowej, do psychiki bohatera, niemal do charakteru konfliktu. Z umiarem operuje pisarz lakonicznym komentarzem, nie sprowadzając go wcale do suchej relacji kronikarskiej, lecz nasycając go własną subtelnie sformułowaną oceną ideową. Dlatego niewłaściwa wydaje się sugestia recenzenta „Życia Literackiego", że np. komentarzem do opowiadania tytułowego „Zgodnie z prawem" Bocheński „rozbija ład ideowy i artystyczny opowieści zbyt oczywistą, zbyt natarczywą literacką pointą". Autor bowiem, nie nadużywając nigdzie natarczywego komentarza (może tylko w początkowych partiach „Włosny"), w tym właśnie opowiadaniu wcale nie naruszył zwartego i przemyślanego toku swej prozy. Przeciwnie — swym lakonicznym zwrotem („...Kazik przejrzał odpowiednie paragrafy w Dzienniku Ustaw i przekonał się, że Gąsieckiego skazano zgodnie z prawem") Bocheński uwypuklił trafnie i we właściwym miejscu słuszność decyzji sądu Polski Ludowej, decyzji, która w pierwszej chwili może jednak budzić ze względów emocjonalnych nieufność czytelnika. Szczególnie przekonywająco wypadły w tomie Bocheńskiego te liczne partie opowiadań, w których autor relacjonuje sprawy od strony środowiska wiejskiego, zbiorowego bohatera ludowego.

Opowiadania „Zgodnie z prawem" pozwalają wiązać poważne nadzieje z dalszą twórczością prozaiczną Jacka Bocheńskiego.

Zofia Sikorska

**) Jacek Bocheński, zgodnie z prawem, „Czytelnik", 1952, s. 232.*

Uwagi Czytelnika

WACŁAW KOSOBUCKI

O LUDZIACH Z BLISKA

OPOWIADANIA Bocheńskiego *„Zgodnie z prawem"* przeczytałem z zapartym tchem. Bardzo podobał mi się realizm w tej książce, np. skup zboża w Kożeniu Polskim. Ale ponieważ sam brałem udział w skupie na terenie naszej gminy Sokolice w 1950-51 r., kiedy jeszcze byłem sekretarzem gm. ZSCh, więc powiem, że Wójcik niewłaściwie postąpił z Olejniczakiem. Bo kiedy go poznał, miał pełne prawo cofnąć decyzję i zwolnić Olejniczaka ze skupu. Dlaczego? Dlatego, że miał wtedy również pełne prawo ukarać cwaniaka Wojciechowskiego za oszukiwanie władz, za marnowanie zboża itd., Olejniczak poczułby się naprawdę szczęśliwy, widząc pełną sprawiedliwość i opiekuna w partii. Jakże mnie boli grymas żałości na twarzy Olejniczaka po odjeździe Wójcika. Do dzisiaj w tym pozostała cała tragedia Olejniczaka. Bo naprawdę cóż on uzyskał, chociaż był u niego Wójcik i Olszański, tyle tylko, że jak odda to dobrze a jak nie odda, też dobrze (ale o tym wiedzieli tylko ci dwaj pełnomocnicy). Podobny przykład mieliśmy wszak i u nas. Jeden oddał 5 ton a za nim inni, naprawdę biedni, mieli brać wzór? Mój sąsiad Bejnarowicz sprzedał 15 kwintali, ale kiedy do niego przyszedł Oktaba, były prezes GS, za skupem i powiedział, że „musisz jeszcze z 10 kwintali sprzedać, bo ja sprzedałem 5 ton", Bejnarowicz chwycił nóż i chciał siebie zarżnąć, więc ci uciekli jak zmyci. Inna rzecz, że Bejnarowicz, który umiejętnie prowadzi gospodarstwo mógłby więcej mieć zboża, ale wtedy naprawdę nie miał, już na wiosnę owies kupował do siewu i pszenicę jarą. Kożuchowski (inny sąsiad) miał o wiele więcej zboża a odstawił tylko 12 q, a więcej, powiedział, nie mam. Ja miałem razem działkę z Kożuchowskim i sprzedałem państwu 18 metrów zboża i 1 metr rzepaku, wdowie — 1 metr żyta, sekretarzowi — 1 metr, bo swego czasu przy omłotach pożyczyli a później oddali mi za to pieniędzmi.

Kożuchowski bezczelnie powołał się na mnie na zebraniu, że Kosobucki wie jaki u niego urodzaj. Odpowiedziałem, że bardzo dobry! Za to o mało nie poszedłem za kraty, bo nie zapomniał mi tego i czekał okazji, a ta nadeszła wkrótce. Dzieci zapaliły słomę (moja córka 4-letnia i sąsiada chłopak), pożar przerzucił się na stodołę ale w natychmiastowej akcji ratunkowej ugaszono stodołę bez strat. Ale ten drań, kiedy było śledztwo, powiedział, że matka kocioł gotowała przy słomie i od tego się zapaliło. Stwierdzono jednak bezpodstawność oskarżenia Kożuchowskiego. W końcu wyciągnął rękę i zaczął z innej beczki, ale ja jestem ostrożny, zwłaszcza z takimi jak Kożuchowski, byłym właścicielem 25 ha, które uciułał z cudzego potu i cudzych strat.

Wspominam o tym dlatego, że z podziwem oglądam pisarski wysiłek Bocheńskiego aby się wśrubować w poplątany gąszcz walki klasowej na wsi, gdzie ludzie ścierają się imiennie jako sąsiedzi i znajomkowie. I dlatego w takich warunkach walka bardzo jest utrudniona i mimo trafnych ciosów często i długo nieskuteczna.

Olejniczak demaskuje na zebraniu Wojciechowskiego. — „A patrzajcie! Jakże to ty jeden uderzony gradobiciem? Ty jesteś dobry kombinator i — można powiedzieć — kułak".

Na to Wojciechowski od razu wypomina śrut, na którym Olejniczak z bezrolnego dorobił się paru zagonów. Czyli go ośmieszył i poniżył. „Któż to krytykuje Wojciechowskiego? Olejniczak? A jakie ma prawo?" O, tak to bywa. I Bocheński, powiedziałbym, przedostał się przez to, co opisują korespondenci. U nich sprawa sądowa, ten winien, ten czysty. Ale dopiero pod tym, co na powierzchni u korespondenta, zaczyna się ten gąszcz ludzkich sprawek, który daje literaturę i głębszą prawdę o życiu.

Bo jakże łatwo się pomylić w ocenie ludzi. Bocheński na przykładzie Wojciechowskiego pokazuje, jak ten gra na perłowo rolę wariata i zabiedzonego chłopa. „Jestem trup, skończony trup". A kręci jak lis, wymacuje prawa aby je obejść, kalkuluje interesy, na których skorzystają inni kumotrzy, ale i on zyska, nie tracąc dobrej opinii. Bocheński dotarł wreszcie do tego, czym my żyjemy na codzień, w czym się często topimy i gubimy, bo tu trudne rozeznanie, i wzorów — na odwirowanie każdego elementu brak. A tak by się chciało, żeby te sprawy łokcia przy łokciu jak najczęściej pisarze wyświetlali i na widok wystawiali. Aż mi ulżyło po Wojciechowskim, bo u nas takich historii też było sporo. Niech się teraz jak w lustrze przejrzy u nas np. Kozioł ze Szporin. W 1950 r. na zebraniu w gminie wystąpił z publiczną skargą, że mu się dzieje krzywda bo mu zrobili zajęcie za podatek „a jak widzicie, jestem biedny Kozioł, przybyłem tylko z węzełkiem". Więc cóż? Biedny? Takiemu trzeba pomóc. Okazało się jednak obecnie, że kiedy założono w Szporinach spółdzielnię, on przystąpił także i od razu kupił motocykl, za który zapłacił 5.300 zł, a który jemu wcale nie jest potrzebny, ale w czymś musiał pieniądze ulokować.

Skąd naorał tyle pieniędzy? Po Bocheńskiego „Władzy" od razu przeprowadziłem rachunek. Dobrze ta książka uczy. Kozioł jest bednarzem a las rządowy tuż pod bokiem, więc co piątek sprzedawał zrobione przez siebie beczki, dzierże, balie, na trzech koniach woził. A przecież ja sam uważałem go za ofermę, która końca z końcem nie może związać.

W drugim opowiadaniu *„Wiośnie"* uderzyła mnie rola Żuka, brygadiera-traktorzysty. Przybył on z POM na wiosenne siewy i w tej akcji zakończył dwuletni spór dwóch grup w spółdzielni. Takie grupy regionalne na Ziemiach Odzyskanych przedłużają jeszcze niechęci, spory i zwady, jakie dawniej toczyły sąsiednie wsie ze sobą. U nas też jest taka mieszanina i za sąsiada uważa się gospodarza ze swoich dawnych stron. Ale co najważniejsze. U nas powstaje spółdzielnia produkcyjna i okazuje się, że POM będzie dla nas nowym sojusznikiem nie tylko technicznym. Żuk u Bocheńskiego wyświetlił korzenie niezgody i sabotażu.

W tym więc opowiadaniu ważnymi wydają mi się dwie sprawy. Kto przed dwoma laty wybierał na przewodniczącego Karolaka, wroga ludu i socjalizmu? Właśnie na obecnym etapie trzeba na tę sprawę patrzeć z punktu widzenia walki o władzę w terenie. Trzeba wzmocnić kontrolę i sięgać nią głębiej w przeszłość. Za Karolakiem przemawiało to, że uchodził za rzutkiego organizatora, jednego z tych, co to za piecem się nie chowają, ale przeciwnie — pchają się na oczy ludziom. Stał on na czele większej grupy regionalnej z tradycji fornalskiej. On pierwszy wystąpił z hasłem spółdzielni. Ale równocześnie „lokajski" miał związek z byłym obszarnikiem oraz z biskupem Wątorkiem, agentem pod maską wyznawcy biblii.

— A ty, Wojtek, nie spuszczaj go z oka — nakazywał kierownik POM. A dlaczego miejscowi na oku mieli bielmo? Tę sprawę nie dość Bocheński rozpracował. Dam dwa przykłady.

Pod koniec 1951 r. jestem u sekretarza KG tow. Kaczyńskiego, patrzę, u niego na stole list, poznałem po charakterze pisma, że list pochodzi od Karpińskiego. Dlaczego Karpiński jako szwagier Kaczyńskiego posługuje się listami, skoro mieszka o kilometr drogi? Kaczyński jakby odgadł moją myśl, powiada przeczytaj ten list i powiedz, czy to prawda. Przeczytałem i odpowiedziałem, że dużo prawdy ale również i nieprawdy. Otóż Karpiński oskarżał w tym liście sołtysa Szymusia z gromady Łabędziowo, że ten nie dał na skup zboża, że podatku nie opłaca, że ludzi odmawia od płacenia itp. Była to nieprawda. Szumuś dostał w gromadzie Łabędziowo dyplom uznania za sprawnie przeprowadzoną kampanię żniwną, omłotową, za skup zboża, i premię w gotówce. Fakt namacalny, jakie ma ambicje chłop takiego pokroju jak Karpiński.

Kto mógł być tym „okiem" w opowiadaniu Bocheńskiego? Jabłonowski. Ale autor nie w pełni ukazał cechy charakterystyczne takich działaczy jak Jabłonowski. Ten „filozof", dumający i pragnący prawdziwie lepszej przyszłości to typ częsty na wsi. Takich w cieniu grzebią Karolakowie. Wykorzystują ich nieśmiałość i przesadne poczucie odpowiedzialności, dlatego oni sami nie pchają się do organizowania i kierowania ludźmi, raczej osobistym przykładem dają wzór właściwego postępowania

Wacław Kosobucki

OTTO WENCEL

Z podróży do ZSRR

NASZ RADZIECKI PRZYJACIEL...

JECHAŁA nas spora grupa nauczycieli, a każdy inaczej wykształcony. Jeden niżej, drugi wyżej, ten kwalifikowany, tamten nie. Niektórzy koledzy skarżyli się, że nie mają warunków na dokształcanie, od lat nie pogłębiają swojej wiedzy, żyją z dawnych kapitałów, brak im znajomości najnowszych osiągnięć w dziedzinie ich specjalności. Jakże te sprawy wyglądają w Związku Radzieckim?

Odpowiedź otrzymaliśmy bardzo szybko, w pierwszej kijowskiej szkole jaką odwiedziliśmy. Urzekły nas „gabinety metodyczne" — forma samokształcenia nauczycielskiego nieznana u nas. Radzieccy koledzy wygłaszają w gabinecie referaty i koreferaty, studiują wspólnie najnowsze osiągnięcia w swojej dyscyplinie naukowej, przeprowadzają doświadczenia na nowym sprzęcie pomocniczym. Tu także dyskutują nauczyciele swoje osiągnięcia w walce z drugorocznością.

Zdumiewająca rzecz! W Związku Radzieckim nie ma już problemu niekwalifikowanego nauczyciela, co więcej — nie ma problemu nauczyciela „spóźnialskiego". Powiedzmy, że sprawa niewykwalifikowanych sił w naszych szkołach jest przejściowa, ale „spóźnialstwo" to wielkie w naszym zawodzie zagadnienie! Sam spotykałem w terenie kolegów, którzy wiedzę o literaturze polskiej zaczęli i skończyli na Chrzanowskim. Młodsi nie wyszli poza liceum skończone dobre kilka lat temu.

Wydaje mi się, że nauczyciele radzieccy świetnie rozwiązali problem doskonalenia kadr. Każdy z uczących się, chce czy nie chce, musi co pięć lat ukończyć roczny kurs w Instytucie Doskonalenia Kadr. Co pięć lat pogłębia i odświeża wiadomości. Nie do pomyślenia jest tam wypadek, jaki zdarzył się pewnemu naszemu przyrodnikowi, który nauczał, że człowiek najprawdopodobniej pochodzi od GORYLA. Każda nowa zdobycz naukowa jest radzieckiemu nauczycielowi przekazywana przez Instytut.

A skąd się bierze w budżecie nauczycielskim czas na taki roczny kurs? Ważne to dla nas pytanie. Ano bierze się stąd, że nauczyciele starszych klas mają jeden wolny dzień w tygodniu, młodszych — dokształca się po południu.

Oglądaliśmy uważnie życie szkoły nr 60 w Kijowie. Uderzyło nas braterskie, pełne życzliwości współżycie grona pedagogicznego. Rzadko kiedy trafia się lekcja bez odwiedzin któregoś ze współkolegów. Wzajemna nieustająca wymiana doświadczeń i stałe dyskutowanie jednostki lekcyjnej, podnoszą kwalifikacje nauczyciela.

Pytałem wielu nauczycieli na Ukrainie, czy nie skarżą się na brak czasu, przepracowanie, ów dramatyczny nieraz u nas podział pomiędzy pracą szkolną i społeczną. Odpowiadali mi zawsze z pogodnym uśmiechem, że wszystko jest w porządku. Zastanawialiśmy się dlaczego tak jest? I zawsze na to wychodziło, że nauczyciel radziecki nie uważa siebie za jedynego społecznika w terenie, jest skromniejszy niż wielu naszych kolegów, którzy sądzą, że bez ich obecności ciele na świat nie przyjdzie, zebranie się nie odbędzie, Gminna Rada się zawali, żyto w polu nie wzejdzie. Nasz radziecki przyjaciel dostrzega przede wszystkim aktyw terenowy, umie się na nim oprzeć, a jeżeli z aktywem słabo — to go szkoli. Dlatego nie tylko nie narzeka na przeciążenie pracą, ale osiąga wciąż jeszcze u nas w terenie rzadką równowagę pomiędzy ściśle szkolnymi a społecznymi obowiązkami. Niech mi będzie wolno trochę pożartować. U nas często się słyszy wśród kobiet — nie wychodź za mąż za nauczyciela, bo chłopa w domu nie zobaczysz. W Kraju Rad małżeństwa nauczycielskie są w modzie, a koleżanki są bardzo szczęśliwe.

Chciałbym jeszcze na jedno zwrócić uwagę — mianowicie na godność zawodu nauczycielskiego w Związku Radzieckim. To także bardzo u nas ważna sprawa. O popularności nauczyciela świadczą urządzane rok rocznie „Dni Nauczyciela Wiejskiego". Organizują je tzw. Domy Nauczyciela. Radio i prasa zapoznają naród radziecki z pracą szkoły, przedstawiają sylwetki wybitniejszych pracowników szkoły. Z drugiej strony społeczeństwo radzieckie składa nauczycielom w rozmaitej formie, najczęściej jednak na specjalnych zebraniach, wyrazy szacunku i gorącego uznania. W praktyce zapewnia mu odpowiednie warunki mieszkaniowe, dba aby szkole niczego nie brakowało.

W Kraju Rad panuje taki obyczaj: nauczyciel, który nie splamił honoru obywatela radzieckiego, sumiennie wykonywał swój zawód, z reguły otrzymuje po 30 latach pracy Order Lenina, najwyższe odznaczenie radzieckie.

Nie mogliśmy się oprzeć przekonaniu, że u nas praca nauczyciela nie doczekała się jeszcze należytego uznania. Nie chodzi mi o to, że w terenie czasem ta czy inna GRN ani myśli dopomóc koledze, borykającemu się z trudnościami. Chodzi mi o sprawę szerszą. Stosunkowo mało się o nas pisze, szerszy ogół nie widzi dostatecznie naszych wspaniałych nieraz osiągnięć, zwłaszcza na odcinku politechnizacji nauczania. Pisarze nie dali nam jeszcze powieści o nauczycielu wiejskim. Wreszcie my sami mało dajemy znać o sobie. Takie refleksje narzuciły nam się w czasie pobytu w Kraju Rad przez prosty kontrast.

KRYSTYNA KARDYNI

O Wiejskim Domu Kultury

SZUKAJMY NOWYCH DRÓG

CZY pejzaż, jaki dostrzegamy naszymi oczyma, może mieć polityczną wymowę? Czy można mówić o gromadzie „socjalistycznej z wyglądu", lub pełnej sprzeczności także z wyglądu? Osądźcie sami.

Przed nami skąpany w wiosennym słońcu, ukryty w rozkwitłych sadach Bolimów, gminna wieś łowicka leżąca niedaleko Żyrardowa. Najpierw rzuci się wam w oczy kościół, ciężki i przysadzisty, udający niezręcznie starą romańsko-gotycką świątynię. A z bliska przesłoni go okazała remiza strażacka. O niej zaś zapominamy czytając napis: *kino stałe*. Niedaleko niewielki, lecz estetyczny pomnik z czerwoną gwiazdą na szczycie, dowód wdzięczności dla Armii Radzieckiej. Dalej radiowęzeł, który bije swoim zasięgiem wieżę kościelną, widoczną przecież z sąsiednich gromad. Wreszcie okazały Dom Kultury w zielonym bukiecie drzew, po drugiej stronie Rawki. *Stare i nowe*, oto co z miejsca dostrzegają oczy. Jakże jest w rzeczywistości?

✣

Gmina — jak nie łowicka. Ziemia nienajlepsza, bo choć trafia się III klasa ziemi, przeważa przecież IV i V. Nie znajdziesz tu słynnego łowickiego buraka, tylko ziemniaki, żyto, owies. Nawet z pszenicą tu nienajlepiej. Mieszkają tu w olbrzymiej większości średniorolni chłopi. A w Bolimowie więcej może biedoty niż w innych gromadach. Biedota ta dorabia sobie robieniem mioteł, rzadziej garncarstwem.

Bolimów tętni życiem. Trafiłam na dobry dzień. Dziś wymiana książek w bibliotece gminnej. Tomów 1400, czytelników stałych 300. Liczba, której nie ma się co wstydzić. Dziś również i seans kinowy. Ożywienie kulturalne Bolimowa i najbliższej okolicy pokazuje frekwencja. W remizie raptem 10 ławek dla widzów, a jednak, na przestrzeni dwóch lat pracy kina nie zdarzyło się by wszyscy zdołali się wepchać do remizy. Jakim cudem mała sala pomieściła 120 osób naraz, kiedy to dawano polski film „Pierwsze dni" (wg. Hamery — Na przykład Plewa) tego do dzisiejszego dnia nie może pojąć energiczny kierownik, Teresa Królik. — Ojciec bił się z synem, syn z matką o bilety, tak się im kino podoba.

Uderzyły mnie i inne wydarzenia świadczące o wartkim życiu społecznym gromady. Na ścianie jednego z domów przy ulicy wiodącej w stronę rynku, wisi duża czarna tablica, na której widnieją nazwiska przodowników i bumelantów w dostawach mleka. Dziś nikomu nie przyjdzie nawet do głowy aby zetrzeć którekolwiek z nazwisk. Wiedziałam także pokaźną grupę chłopów zadzierających uważnie głowy w stronę innej tablicy, gdzie barwnie, kolorowymi ołówkami, zaznacza się stan dostaw dla państwa w Bolimowie i innych gromadach współzawodniczących. Tradycja współzawodnictwa z innymi gromadami ustaliła się w Bolimowie już od przeszło roku. Zeszłoroczne zbiory, tegoroczne siewy wiosenne i sadzenie ziemniaków ,oto okazje, w których zabłysła gromada jako pierwsza w gminie.

Byłam i na poczcie. Na 1400 rodzin przychodzi ponad 1000 rozmaitych pism.

✣

Józef Wysota, młody agronom i zootechnik z wykształcenia, obecnie kierownik Domu Kultury, pokazuje mi program wieczoru artystycznego, przeznaczonego specjalnie dla okolicznych chłopów — przodowników pracy. Przeczytajmy dosłownie: 1. Chór — pieśń radziecka „Jarzębina", 2. Kujawiak — muzyka: akordeon i mandolina, 3. Recytacje — Mały Japończyk Kano, 4. Śpiew solo — „Walczyk Warszawy", 5. Recytacje — „Gołąb pokoju"... i tak dalej, w sumie 10 pozycji. Jakaś artosowska składanka, w której tyle z terenowej bolimowskiej problematyki ilu diabłów na końcu szpilki.

Wysota opowiada, jak to wiosną ubiegłego roku usiłował wystawić na scenie świetlicowej „Szkice węglem", przy pomocy dzieci z bolimowskiej szkoły podstawowej. Nauczyciele popierali Wysotę, ale rodzice przeciwstawili się wystawianiu „bezeceństw", zabronili dzieciom występów i ostatecznie nie tylko przedstawienie się nie odbyło, ale i Dom Kultury na szereg miesięcy opustoszał. W takiej sytuacji kierownik oparł się głównie na młodzieży uczącej się w Żyrardowie.

Ale Żyrardów, jak to już pisano we „Wsi", żyje kulturą „importowaną" ze stolicy. Oznacza to, że młodzież przynosi ze sobą do Bolimowa wiele piosenek śpiewanych na stołecznych estradach, wiele wierszy deklamowanych w świetlicach żyrardowskich. Czy to jest źle? To jest bardzo dobrze, lecz ten „ogólnopolski" niejako program nie powinien stanowić całości produkcji bolimowskiego Domu Kultury, lecz tylko jedną jego część. A część druga?

✣

Odbyłam rozmowę z kierownikiem radiowęzła, Tomaszewskim. Wcale niezłe osiągnięcia ma „bolimowska radiostacja" obsługująca kilkanaście gromad. Nie każdy radiowęzeł prowadzi stałą kronikę „Nasza gmina w skupie i kontraktacji". I nie każdy tak jak to się

dzieje w Bolimowie. Obok zwykłych, ale każdego interesujących informacji o przebiegu współzawodnictwa, pojawiają się krótkie skecze, satyrki ośmieszające opornych, szydzące z zacofania i zabobonu. Tomaszewski włożył wiele serca w aktualność programu. „Ledwo jaki sołtys nieprzyzwoicie wierzgnął, a już go Tomaszewski w swoim radiu po gminie rozniósł" — takie słyszałam komplementy pod adresem radiowęzła.

Wysota domyśli się zapewne dlaczego wspominam działalność „bolimowskiej radiostacji". Jasne, podsuwam mu niewykorzystane możliwości, bezcenny a świeży materiał, niewykorzystany na scenie Domu Kultury. Myślę, że zdolniejsi „żyrardowianie", zwłaszcza zaś humaniści ze starszych klas, mogliby przerabiać wiele materiału z radiowęzła na skecze, krótkie scenki, a nawet wiersze satyryczne. Zdaje się, że dla ambitnej młodzieży byłaby to wielka okazja pokazania swoich zdolności.

Oglądałam i gazetki ścienne, wydawane przez aktyw i — o ironio — przy walnej pomocy Wysoty. Świetne. Ubawiłam się satyrą na prezesa GS. Poznałam przejawy biurokratyzmu, nadużyć, wypadki nieuczciwości w stałej rubryce „Przez dziurę w płocie", czytałam o przodujących w gminie chłopach i bumelantach. Przebogaty materiał z gazetek ściennych czeka tylko na szersze wykorzystanie. Z przykrością muszę napisać, że materiał ten wykorzystywała prasa łódzka, ale nie Dom Kultury pracujący na miejscu. Gazetka gminna wisi w czytelni, nie jest to najlepsze miejsce. A gdyby tak odegrać ją na żywo w Domu Kultury? Mielibyśmy wtedy co miesiąc swoistą *rewię chłopską*, niesłychanie konkretną, obsługującą kilka tysięcy chłopów.

Kierownik Domu Kultury sam zresztą opowiada świetnie historie, których walorów i wymowy społecznej nie docenia. Uraczył mnie np. taką dykteryjką:

— Było to na jednym z zebrań, gdzie miano przedyskutować statut spółdzielni produkcyjnej. Wstał jeden chłop i powiada tak: Idę kiedyś drogą koło spółdzielczego pola, widzę — orze chłop we dwa konie. Stanąłem i oczom nie wierzę. Chłop ma wykręcać, wtem jak go konie nie pociągną, jak się nie wywróci — leżał chyba z dziesięć minut i ani zipnął. Podchodzę i pytam: — Bez cóż to was tak urządziły?

— A bo — powiada — myślały sobie, że chcę zejść ze spółdzielczego pola, a do orania jeszcze kawał.

Szczerym śmiechem można ukręcić łeb nie jednej plotce. A ileż to takich historyjek krąży po gminie. Niechże młodzież współzawodniczy w zbieraniu tego rodzaju anegdot, niech ze sceny rzuca je w teren.

✣

Joanna Krupińska, bibliotekarka, skarżyła się z uśmiechem na Wysotę, że jej odbiera czytelników. Wysota, sam agrotechnik, przyciąga do siebie chłopów, którzy walczą o wyższą wydajność. Dlatego to do niego a nie Krupińskiej przychodzą chłopi po książki rolnicze. Tymczasem? No cóż, powiem prawdę, tej szansy Wysota nie wykorzystał. Dawno już przy Domu Kultury mogło pracować koło hodowców, miczurinowców, czy jakieś inne. Przecież to specjalność kierownika Domu.

✣

Wracamy więc do sprawy kadr dotąd nie rozwiązanej. Na dojeżdżającej młodzieży Dom Kultury opierać się wyłącznie nie może. A przecież w Bolimowie nie brak młodzieży, nie brak i starszych chętnych do pracy kulturalnej. Na 50 pracowników GS co najmniej połowa to młodzi ludzie, zwykle po średniej szkole. Przybylski, Fiutkowski, Odyński stale już uczestniczą w pracach Domu. Z dobrych rolników stary Błaszczyk niestrudzenie basuje w chórze i dmie w klarnet. Jest więc na miejscu baza czynnych współpracowników. Tylko więcej wiary w ludzi, naszych ludzi. Przecież nikt nie przypuszczał, aby Sadowska, dawna dworska wyrobnica, matka 6-ciorga dzieci, mimo że chorowita, tyle przeczytała książek i brała udział w każdej imprezie Domu Kultury. Ten kapitał ludzki — współzawodniczących chłopów, setek czytelników książek — trzeba planowo uruchomić.

Krystyna Kardyni

BOLESŁAW LESMAN

Wiejska świetlica! Własny zespół!

Siew kultury

LOTEM ptaka rozeszła się wiadomość, *że pierwszy w Polsce zawodowy teatr wiejski* inauguracyjne przedstawienie da 2 maja w Bogumiłowicach, pow. Radomsko. Zainteresowanie było niezwykłe.

W świetlicy pomieściła się tylko część chętnych. Reszta stała za otwartymi oknami i drzwiami świetlicy, łowiąc uchem strzępki dialogów i piosenek. Tłum stał cierpliwie do końca przedstawienia, a kiedy ci szczęśliwi wyszli z sali, chciwie wypytywano o szczegóły.

Pierwszy występ objazdowego teatru wiejskiego w Bogumiłowicach stał się wydarzeniem dużej miary. Wagę tego wydarzenia podkreślała obecność dwóch wiceministrów: Czesława Domagały i Jana Wilczka, dyrektora Generalnej Dyrekcji Teatrów — Pańskiego, i wielu jeszcze innych, znanych w całym kraju osobistości oraz literatów i dziennikarzy. Lecz nie oni byli tą atrakcją, która ściągnęła chłopów z wsi odległych o kilka, a nawet kilkanaście kilometrów.

Ze wszystkich wymienionych głównie Domagała, *syn* Bogumiłowic, był obiektem zainteresowania części chłopów. Przyszli bowiem w tak wielkiej gromadzie głównie dlatego, że pamiętali przedstawienia teatralne w Bogumiłowicach *jeszcze sprzed wojny*.

Już od roku 1935 działała w Bogumiłowicach silna komórka KPP. Składała się ona głównie z ludzi młodych. Rozumieli oni, że sanacja, jako jeden ze środków utrzymania władzy, stosuje celowe odgradzanie ludu od oświaty i kultury. Ciemnotą łatwiej rządzić — ta dewiza dobrze jest znana i stosowana wszędzie tam, gdzie garstka „panów" żyje z ucisku i wyzysku milionów.

Grali więc młodzi kapepowcy sztuki demaskujące wyzysk chłopa przez obszarników. Grali aż póki nie zajechały cztery ciężarówki granatowej policji. Policja aresztowała cały zespół artystyczny, przetrząsnęła i zrewidowała większość chałup we wsi w poszukiwaniu komunistycznej bibuły. Kilkunastu członków zespołu, m. in. Domagałę, wprost z przedstawienia zawieziono do więzienia. Przyszły minister za występy w bogumiłowickiej świetlicy zawędrował do Berezy Kartuskiej.

Te wydarzenia do dziś żyją w pamięci okolicznych chłopów i temu właśnie należy przypisać niezwykłe zainteresowanie teatrem w Bogumiłowicach. Ale nie tylko Bogumiłowice posiadają specyficzne warunki, ściągające ludzi do teatru. W każdej wsi znajdą się warunki i nagromadzone bodźce. Dlatego objazdowy teatr wiejski wszędzie może liczyć na powodzenie.

Wróćmy jednak do Bogumiłowic. Wiele zmieniło się tu od czasów przedwojennych. Odszedł ów młody aktyw kapepowski, który był organizatorem życia politycznego i kulturalnego wsi. Najlepszych powołała Partia. Organizacja partyjna w Bogumiłowicach szczyci się tym, że z jej szeregów, oprócz Domagały, wyszedł jeden członek Komitetu Centralnego PZPR, dwóch sekretarzy Komitetów Wojewódzkich, kilkunastu Powiatowych, oraz kilku wysokiej rangi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

Zanim jednak ostatni z najaktywniejszych opuścili Bogumiłowice, zdążyli zorganizować jedną z pierwszych w kraju spółdzielni produkcyjnych i umocnić miejscową organizację partyjną.

Kiedy w połowie kwietnia spotkałem się z Miłopolskim, jednym ze starej gwardii kapepowców, który pozostał na miejscu w Bogumiłowicach, członkiem zarządu spółdzielni i radnym w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, ten jeszcze był pod głębokim wrażeniem pierwszego Zjazdu Spółdzielczości Produkcyjnej, na którym występował jako delegat. Szeroko opowiadał o swoich wrażeniach.

— Serce rosło, kiedy się słyszało jakie piękne osiągnięcia mają już rozmaite spółdzielnie w kraju. Zapisałem się do głosu i szkoda, że do mojej kolejki nie doszło. Mamy się czym pochwalić. Mało kto w Polsce miał takie zbiory jak my. Przeszło 30 kwintali pszenicy z hektara. Tacy Kusiakowie, mąż i żona, za same dniówki dostali gotówki i produktów na przeszło 18 tysięcy złotych, a oprócz tego na swojej działce wyhodowali ponad tysiąc kilogramów żywca i jeszcze ze cztery tysiące litrów mleka odstawili do mleczarni. Nasza spółdzielnia rośnie i bogaci się z roku na rok...

Wygłaszał jakby przemówienie przygotowane na Zjazd, aż trudno było mu przerwać. W końcu jednak doszliśmy do zasadniczego, nierozwiązanego problemu Bogumiłowic.

Wieś liczy ponad sto gospodarstw. Z tych 53 należy do spółdzielni. W ciągu ubiegłych dwóch i pół lat przystąpiło zaledwie 6 nowych członków i dalej ani rusz. W grudniu ubiegłego roku odbyło się zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej, na którym analizowano przyczyny tego stanu i radzono nad znalezieniem wyjścia.

— Musieliśmy wtedy samokrytycznie stwierdzić, — opowiadał Miłopolski — że sami nie jesteśmy bez winy. Zajmowaliśmy się wyłącznie gospodarczymi sprawami spółdzielni, robiliśmy wszystko, żeby rosła i umacniała się, a zapomnieliśmy o tych, co zostali nazewnątrz. Oderwaliśmy się od reszty wsi. Zapadła uchwała, że trzeba ten sztuczny podział jak najszybciej zlikwidować. Każdy spółdzielca rozmawia ze swoimi sąsiadami, stara się ich namówić do zespołowej gospodarki i w ten sposób wyczerpaliśmy już chyba wszystkie sposoby agitacji, a ze skóry nie wyskoczymy!

Nastąpiło więc w Bogumiłowicach to co można by nazwać „przegięciem ekonomicznym". Miejscowi działacze w wirze bieżących zadań gospodarczych zapomnieli o tym, z czego dobrze zdawali sobie sprawę kapepowcy, że w walce o świadomość ludzką kultura jest jedną z najlepszych broni. Nie doceniali jej spółdzielcy z Bogumiłowic chociaż mieli w swoim terenie tradycję pracy dowodzącej, jak skutecznie może ona oddziaływać.

W sąsiedniej Suchej Woli, gdzie niedawno powstała spółdzielnia produkcyjna, miałem możność rozmawiać z kilkoma starszymi chłopami, czytującymi regularnie po trzy a czasem i pięć książek miesięcznie. Leon Machelski, spokrewniony przez żonę z sekretarzem organizacji partyjnej w Bogumiłowicach, Józefem Osińskim, powiada: „człowiek po każdej książce znowu trochę mądrzejszy". A widać, że sporo już zmądrzał, skoro po żniwach zamierza zapisać się do spółdzielni.

Kapitalny wykład o „Placówce" Prusa w kilku zdaniach dał mi Józef Kowalczyk. — Jaki to chłop był wtedy głupi — zwierzał się tonem politowania. — Martwił się, że jak dwór zmarnieje to i on pójdzie na nic. A dziedzic, niepoń, hulał sobie tymczasem za chłopską krzywdę.

Gromadzki punkt biblioteczny w Bogumiłowicach liczy wszystkiego 62 tomy. Połowa z tego to dzieła klasyków marksizmu-leninizmu — trudna lektura dla ludzi nieprzygotowanych politycznie. Z pozostałej części 20 pozycji stanowią fachowe broszury rolnicze. Z biblioteki szkolnej, posiadającej ok. 500 książek, korzysta tylko młodzież.

Bogumiłowice są w całości zradiofonizowane. Korzystają z programu radiowęzła w Strzelcach Wielkich, obsługującego kilkanaście okolicznych gromad. Ale jak dotąd nikt w Bogumiłowicach nie pomyślał, że program radiowęzła można i należy nasycić lokalnymi sprawami.

✣

Kiedy schodziły się tłumy chłopów pod bogumiłowicką świetlicę na zapowiedziany występ teatru objazdowego, Miłopolski pukał się w czoło.

— Jak zatrzymać przy nas te setki ludzi? Co zrobić, żeby oni tu stale przychodzili?

I nagle błysnęła mu myśl.

— Towarzysze! Mamy świetlicę, mamy własny zespół. Trzeba go rozruszać. Trzeba nam tę pracę na serio rozwinąć, a będziemy mieli nową broń.

Towarzysze! Nowa droga przed nami!

Bolesław Lesman

HENRYK WORCELL

Rys. ST. SZMIDT

Dzieje trzeciego etapu Konkursu Czytelniczego

opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne — część druga

W sąsiednich zabudowaniach, rozległych jak folwark, mieszkały trzy rodziny: gospodarz Modera, Mąciło i robotnik fabryczny Pankiewicz. Do Mąciły — urwijcie mi głowę — nie pójdę, chociaż bardzo możliwe, że jego bezdzietna żona przystąpiłaby do konkursu. Zapukałem do mieszkania Modery.

— Dzień dobry! Mam tu dla was coś od św. Mikołaja... Pankiewicz, który był akurat w mieszkaniu Moderów, człowiek partyjny, znał już warunki konkursu, Modera też był

Pankiewicz i Modera wybierają książki

przez niego poinformowany. Przejrzeli książki, Modera wybrał „Ziemniaki" Listowskiego i „Buraczane liście" Jarochowskiej (wyjaśniłem mu, że to jest powieść — machnął ręką": „Nie szkodzi, powieści też czytam") — jego żona „Królewskich synów" Kraszewskiego, a Pankiewicz chwycił „Opowiadanie o Dzierżyńskim".

— Tyle się o tym Dzierżyńskim gada i pisze... Pomyśleć tylko: razem z Leninem i Stalinem robił rewolucję w Rosji. Podobno bez niego byłoby krucho z tą rewolucją. — Chciał jeszcze zatrzymać Wilczka „Nr 16 produkuje", ale nie dałem.

— Wilczka dostaniecie później, jak Dzierżyńskiego skończycie.

Zwróciłem się do Pankiewicza z propozycją, by prowadził III grupę, ten po namyśle doradził mi, bym do tej pracy wciągnął robotnicę z roszarni, Pulawską. „Ona się tym chętnie zajmie i więcej zrobi niż ja".

— A u Mąciły pan był? — zagadnął mnie Modera, uśmiechając się jakoś wyczekująco.

— No, no, właśnie powiedzcie mi naprawdę, co to za człowiek?

Chłop jest przodownikiem pracy i produkty zdaje ponad plan. Ale... 1) jest ich tylko dwoje, on z żoną, 2) posiada 3 ha ziemi i tylko z tych trzech zdaje produkty, płaci podatek, 3) korzysta z dodatkowych 4 ha, których się zrzekł dwa lata temu i które teraz dzierżawi nie płacąc od nich podatku ani produktów rolnych, 4) jego ziemię zaliczono do V i VI klasy, podczas gdy taką samą ziemię Modery i Boruty zaliczono do III i IV klasy.

— A z sołtysem jak on tam?

— No, rozumie się, przyjaciel. Nieraz tu popiją. Mąciło w gospodzie nie lubi, woli w domu. A i sołtys też woli omijać gospodę, tylko że mu się to nie udaje, bo jak sobie dobrze u Iwanowa albo u Kajmera kropnie, to przestaje być ostrożny, wali prosto do bufetu.

Zanim doszedłem do Puławskiej, zahaczyłem o młodego Potyrałę.

Niedawno ożeniony pracował w roszarni, mieszkał u 60-letniej matki, gospodarującej na 3 ha lichej ziemi. Nie zwróciłem na nią specjalnej uwagi, chociaż pamiętam, że mnie obserwowała i uważnie słuchała, co mówię — w parę tygodni później przekonałem się, że staruszka zasługiwała na baczniejszą uwagę. Żona Potyrały, dziewczę niemal, wybrała „Pana Tadeusza", a on... To było trochę i śmieszne i zastanawiające. Wahał się, przerzucał książki i nagle z pewną determinacją w głosie: „Daj pan to!" i wziął Lenina—Stalina „O spółdzielczości produkcyjnej na wsi" — co wszystko razem robiło wrażenie jak gdyby powiedział: a no, będę ja widział, czy ten diabeł taki straszny jak go malują.

Bardzo dobrze — przytaknąłem — przeczytajcie uważnie, przyda wam się, gdy przystąpicie do spółdzielni. Potyrała spojrzał na mnie jakby ze zdziwieniem: „tu spółdzielnia?" — machnął ręką i nic już więcej nie powiedział. Jego matka też milczała, pochyliwszy głowę nad jakąś robotą. Nie pierwszy to raz przy zagadaniu o spółdzielni produkcyjnej *w Zdarzycach* spotkałem się z niedomówieniem.

Puławska i jej 17-letnia córka Zofia były w domu. Matkę znałem tylko z widzenia: twarz okrągła i jasna, włosy bujne, już siwiejące, oczy otwarte, patrzące badawczo i zarazem życzliwie. Wyjaśniłem jej, z czym przyszedłem i prosiłem, by się podjęła prowadzenia II grupy konkursowej.

— Czemużby nie? Ja się tym zajmę. Wciągnę robotników z fabryki.

Spojrzałem na tytuł książki leżącej na stole: „Król Chłopów" Kraszewskiego. Skąd? Z biblioteki zakładowej. Owszem, można stamtąd pożyczyć kilka książek konkursowych i zasilić zdarzycki zespół. W ogóle Puławska wykazała sporo inicjatywy, chciała pracować, sama proponowała organizowanie wieczorów wspólnego czytania.

Tak oto powstał w Zdarzycach Dolnych zespół konkursowy, podzielony na 3 grupy, które zaczęły żyć i rozwijać się każda w sposób odrębny. W ciągu trzech miesięcy zimowych zdołałem urządzić kilkanaście wieczorów u Rucińskiego, u Puławskiej i u siebie w domu. Planowałem zorganizowanie wieczoru na większą skalę w świetlicy, ale po namyśle zrezygnowałem. Doświadczenie wykazało, że takie wieczory nie udają się w naszej gromadzie, raz dlatego, że ludzie wobec licznego audytorium doznają tremy, po wtóre, choćby nawet mieli ochotę coś powiedzieć, wyrazić się pozytywnie na temat zagadnień społeczno - politycznych, poruszanych w danej książce — wolą milczeć ze względu na kumoterską klikę, która swym uczulonym słuchem doskonale odróżnia niebezpieczne dla nich szczere wypowiedzi od niewinnych, fałszywie deklaratywnych przemówień. Małoż to razy słyszeliśmy takie przemówienia. Słuchasz człowieku, podziwiasz elokwencję mówcy i przytaczane cytaty nawet Lenina i Stalina, bijesz mu oklaski i wcale nie widzisz jak on raz lewym, raz prawym okiem mruga szelmowsko ku swoim „kumotrom". Czasem jednak takie mrugnięcie daje się zauważyć. Oto np. na jednym z zebrań gromadzkich stała sprawa wyboru przewodniczącego koła TPP-R. Żaden z bezpłatnych nie chciał przyjąć tej funkcji, każdy z nich bowiem był na tyle uczciwy, że z chwilą gdyby się zgodził być przewodniczącym koła, starałby się koło to rzetelnie prowadzić. A prowadzić rzetelnie koło TPP-R w Zdarzycach, to narazić się bandzie kumotrów. Wobec tego kumotrzy robią kawał. Dwie znane rajfurki, orientujące się w sytuacji,

Rajfurki Cisłakowa i Maślakowa

Maślakowa i była przewodnicząca Koła Gospodyń Cisłakowa, wesoło, z humorem wysuwają kandydaturę Mąciły. Kumotrzy krzyczą: zgoda! zgoda! — a Mąciło przyjmuje funkcję, wzdychając i robiąc minę jak gdyby chciał powiedzieć: „Trudno, trzeba pracować społecznie dla dobra kochanej ojczyzny". I oto jeden z najzagorzalszych reakcjonistów zostaje przewodniczącym koła TPP-R, kawał się udaje, ale Maślakowa i Cisłakowa nie mogą stłumić swej wesołości, wybuchają śmiechem.

W małych grupach, nie mających charakteru zebrań oficjalnych, nawiązanie dyskusji przychodziło łatwiej. Nie sposób w tym miejscu przytoczyć wszystkich ciekawszych wypowiedzi, z konieczności muszę się ograniczyć do wyciągania wniosków. Ogólnie utrzymuje się słuszny pogląd, że przeciętny czytelnik wiejski, ściślej, rolnik z wykształceniem od 4 do 7 klas szkoły podstawowej, niechętnie czyta książki o tematyce wiejskiej. Jak dziecko, które woli cyrk z jego cudacznymi klownami i linoskoczkami niżeli widowisko teatralne, tak on chętniej czyta powieści o krajach egzotycznych, o wojnie, o awanturniczych przygodach niżeli „Pawie pióra" Kruczkowskiego czy „Ojczyznę" Wasilewskiej. Tematyka wiejska zaczyna być interesująca dla czytelnika bardziej wyrobionego, umiejącego wyłowić z książki jej problematykę społeczną, czy psychologiczną, także dla miejskiego inteligenta, któremu wieś pachnie egzotyką i dla tych, którzy oderwali się od wsi, od roli, a teraz tęsknią za nią, wczytując się w reymontowskie opisy przyrody. Ale i ów przeciętniak czteroklasowy z biegiem czasu chętnie weźmie do ręki książkę Kruczkowskiego czy Jarochowskiej. Stanie się to z chwilą, gdy wskutek czytania i gimnastyki umysłowej spostrzeże, że problematyka zawarta w książce jest jego własną problematyką. Artystyczne walory książki, opisy przyrody, styl autora — te rzeczy są mu jeszcze obojętne, ale problematykę chwyta. Młody Potyrała doszedł już do tego

Puławska dużo udzielała się społecznie

Wieczory czytelnicze

progu zaciekawienia, stary Duciński również. Tyle się mówi i pisze o tych spółdzielniach produkcyjnych, takie sprzeczne poglądy ludzie wypowiadają, że Potyrała z pasją chwyta książkę, by zobaczyć co na ten temat mówią takie autorytety jak Lenin i Stalin, a stary Ruciński sięga po „Światła z Koordi". Pankiewicz zaś jako partyjny szuka w książce wytłumaczenia dla takiego zjawiska jakim był Dzierżyński, a jako robotnik fabryczny sięga po „Nr 16 produkuje". Jasne więc, że zadaniem bibliotekarzy i organizatorów konkursu jest doprowadzenie przeciętniaka do tego progu zaciekawienia problematyką książki. Ogromne i może niedoceniane znaczenie mają tu wieczory głośnego czytania, o czym przekonałem się osobiście, gdy czytałem u Rucińskich „Wiosnę w Sakenie". Jeden z konkursistów, 40-letni chłop Pichel, znał już tę książkę, czytał ją u siebie w domu i był rozczarowany, nic nadzwyczajnego w niej nie znalazł. Mówił o tym później na powiatowym zjeździe przodowników czytelnictwa: „Nie wiem co to jest, do licha, ale jakem słuchał czytania, to mi się ta książka sto razy więcej podobała i wszystkom w niej rozumiał. Takie to dziwne rzeczy się dzieją, że potem to już drugą książkę „Światła w Koordi" czytałem uważniej i już mnie ciekawiła, już wiedziałem o co tam chodzi, bo byłem mądrzejszy". A oto inny, charakterystyczny wypadek: zetempowiec Krasica przez dwa wieczory słuchał najbardziej przejmujących fragmentów książki Ażajewa „Daleko od Moskwy" opisujących ofiarną i wprost bohaterską pracę robotników przy budowie rurociągu naftowego w okresie srogiej zimy. Podczas dyskusji na temat przeczytanych rozdziałów stary Gozdawa odezwał się ze swego kąta: „E, kto to wie, czy tam naprawdę tak było...!" Wtedy wyrwał się Krasica: „Było, ja wiem, że było! Jakby tak nie było, toby Rosja Niemców nie pobiła. Ha! Teraz to ja rozumiem ten wiersz Majakowskiego „Lewą Marsz" i ten okrzyk: „Komuny nikt nie zwycięży!"

Najwięcej pracy związanej z konkursem przypadło na miesiąc luty. Trzeba było dopilnować, by konkursiści wymieniali między sobą książki, by zdążyli do 1 marca przeczytać co najmniej po 3-4. I trzeba już było przygotowywać czytelników do pisania wypowiedzi. Większość z nich w ogóle nie wiedziała, jak się do tego zabrać, a ci co już zaczynali wypracowywać swe wypowiedzi wyrażali w nich stronę fabularną książki, streszczali jej akcję. Trzeba im było tłumaczyć, że wypowiedź zawierać winna również wnioski ogólne z przeczytanych książek, wnioski natury klasowej, rewolucyjnej, a także artystycznej. Z satysfakcją stwierdzam, że nie musiałem im tych rzeczy kłaść łopatą do głowy ani zaczynać od a, b, c, — ogromna większość konkursistów szybko pojęła o co chodzi i dała wypowiedzi zadowalające, nieraz zadziwiające trafnością wniosków, np. o hamującej postęp roli kapłanów w „Faraonie", o upośledzeniu i niedoli kobiety w „Marcie" Orzeszkowej, o przepastnej różnicy idei, w imię których walczył żołnierz radziecki i żołnierz hitlerowski, o bezsensownej miłości córek i zaślepieniu ojca Goriot, zaślepieniu, które nie mogłoby zaistnieć w ustroju socjalistycznym.

Wzrost uświadomienia społeczno-politycznego to pierwsza, nieoceniona korzyść, jaką przyniósł gromadzie konkurs. Druga korzyść, to znaczny wzrost czytelnictwa. Trudno tu ustalić granicę między normalnym rozwojem czytelnictwa a wyraźnym sukcesem, jednakże liczby dają do zrozumienia, że sukces jest, bo gdy w grudniu ub. r. mój punkt biblioteczny miał 35 abonentów, to w kwietniu br. miał już 90 nie licząc tych nie zarejestrowanych, którzy korzystają z biblioteki, czytając książki pożyczane przez abonentów zarejestrowanych.

Trzecia korzyść, to fachowe wiadomości rolnicze i hodowlane, które czytelnicy zastosują w swych gospodarstwach.

Korzyść czwarta... Tu już zaczyna się historia, której epilog można przewidzieć i której nazwa: *walka klasowa*. Byłoby to niezgodne z prawdą, gdybym powiedział, że najważniejszą i jedyną rolą w tej sprawie odegrały książki. Na jakiś rezultat oddziaływania książek trzeba by jeszcze długo czekać, gdyby nie moje osobiste wmieszanie się w sprawy gromady, a pośrednio i gminy.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Henryk Worcell

JAN KOPROWSKI

MATCE ORKANA

Jałowa ziemia na Podhalu:
owies na stokach i jałowce.
Zrudziałą trawę słońce pali
i chude wyskubane owce.
Poeta o tej ziemi pisał,
że żal i płacz ją wykołysał.

A w sercu moim lichy piach ten
od dawna miłość wielką budzi.
Stąd, otulona w szarą płachtę,
szła matka z synem między ludzi.
Drżały nad nimi wiechy sosen
jakby i one były bose.

W Porębie Wielkiej, Limanowej
ubogą wiosną, złą jesienią
troski matczyne w dni surowe
toczyły się jak deszcze nad ziemią.
Lecz nie odbierze nic na świecie
hartu i męstwa tej kobiecie.

Odprowadzała syna co dzień
drogą skalistą do Szczurzycza.
... Ręce urobię, nogi uchodzę,
bruzdy poorzą moje lica,
a jemu udostępnię światło...
Skąd w tobie tyle siły, matko?

Matko poety, poszłaś z synem
gościńcem polnym do Krakowa.
I biło serce twe matczyne,
gdy na uniwersytet syn wstępował.
Wracałaś do dom, była północ,
księżyc kołysał się jak czółno.

Kto pojmie, matko, twoje troski,
drogę do życia i do świata?
Krzywda i ciężar tamtej Polski
serce po wielu ranią latach.
Znajdziemy w wierszach nieuciszeni
tę „ziemię łez i wiecznych cieni."

Mnie sławić ciebie, twego syna
i życie wasze w mozół skute.
Miłości czas nie zapomina
wysoką biorąc po was nutę.
SYNOWIE WASI I WNUCZĘTA
PORWALI ŁAŃCUCH, KTÓRY PĘTAŁ.

Sygnały...

WITOLD BILLIP

Powieść o pracy nurków

W dniu 2 października 1948 roku polski statek S/S „Lech" najechał na minę, jedną z tych, których nie udało się wyłowić po wojnie. Statek zatonął. Wydobycia czyli „podniesienia" wraku nie chciało się podjąć żadne przedsiębiorstwo zagraniczne.

Bo też wydobycie zatopionego statku z głębokości np. 30 m napotyka tak wielkie trudności i niebezpieczeństwa, że wymaga nie tylko wysokiego poziomu technicznego, ale także ogromnej sprawności i ofiarności członków ekipy ratowniczej — przede wszystkim nurków.

Mimo tych wszystkich trudności Polskie Ratownictwo Okrętowe już w r. 1949 „podniosło" „Lecha". Uratowany statek pływa znowu pod polską banderą. Aby udowodnić wagę tego osiągnięcia wystarczy zestawić koszt wydobycia (1.200.000 zł) z wartością statku (około 100 miljonów zł).

Polskie Ratownictwo Okrętowe pochlubić się może kilkoma takimi osiągnięciami.

Osiągnięcia ratownictwa okrętów zależą przede wszystkim od pracy nurków. Praca to trudna, niebezpieczna i nie dla każdego dostępna. Wymaga żelaznego zdrowia, sprawności fizycznej, odwagi i wytrzymałości nerwowej. Może właśnie dlatego personel polskich ekip ratowniczych powiększył się po wojnie o wielu młodych zetempowców, których pociąga łamanie przeszkód i niebezpieczeństw, których urzeka niezwykłość, romantyka tej pracy i którzy wraz ze starszymi, doświadczonymi nurkami w podmorskich głębinach chcą przyczyniać się do pomnożenia potęgi ludowej ojczyzny. A oto wyjątek, mówiący o niebezpieczeństwach i trudnościach tej pracy:

„W uszach kłuło boleśnie, choć zaraz dostroił je do zmienionego ciśnienia. Potem ostrożnie raz po raz zaczął wypuszczać nadmiar powietrza przez zawór wylotowy i wolno pogrążał się coraz bardziej, aż stanął na dnie pośrodku całego stada ryb, które zaczęły go okrążać przemykając tuż przed jego twarzą lub zatrzymując się na wprost szyby, jakby trochę zdziwione, lecz bynajmniej nie spłoszone tym niezwykłym widokiem.

Odgarnął je ręką, co wywołało wśród nich nagłą panikę. Bolały go wszystkie żebra, w głowie mu szumiało, był na pół ogłuszony.

Odpoczął chwilę i rozejrzał się dokoła. Za nim w brunatnym mroku majaczyła ogromna czarna masa wraku, zapadłego głęboko w grunt. Podszedł ku niej po twardym jak beton, piaszczystym podłożu. Zamknął na chwilę oba zawory i nacisnąwszy brodą kontakt sygnałowy telefonu powiedział:

— Jestem na dnie. Podciągnijcie mnie w górę do wysokości pokładu „Adlernest".

Jahus spytał go, jak się czuje.

— Już dobrze — odrzekł swoim spokojnym opanowanym głosem. — Chcę wrócić na wrak".

Nurkowi Michałowi Orbachowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Uratował się tylko dzięki przytomności umysłu. I oto zaledwie niebezpieczeństwo minęło Orbach spokojnie, jakby nic nie zaszło, wraca do przerwanej pracy.

Fragment, który przeczytaliście, pochodzi z nowej książki **Janusza Meissnera „Wraki"**, wydanej ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo „Iskry".

Każdy, kogo interesuje praca nurków, dla kogo przytoczony fragment stanowi zapowiedź wielu godzin spędzonych nad pasjonującą lekturą, powinien przeczytać tę książkę.

„Wraki" mają swoje zalety i wady, które omówimy jeszcze w szczegółowej recenzji. Na razie stwierdzimy: największą zaletą książki jest to, że wiele się z niej można dowiedzieć o trudnej i pięknej pracy ekip ratownictwa okrętowego. Autor oparł się na sumiennej wiedzy o opisywanym przedmiocie, wiedzy nie tylko książkowej. Opuszczał się sam na dno, zapoznał się bezpośrednio z warunkami podwodnej pracy.

Czy wiecie, jakim złudzeniom podlega nurek rozglądając się przez szybę szklaną skafandra na 40-metrowej głębi, w jaki sposób można posługiwać się w wodzie palnikiem wodorotlenowym lub młotem pneumatycznym, jak zbudowane są pontony do „podnoszenia" wraków i jak się je umocowuje do zatopionego statku? Na te wszystkie pytania — i na wiele innych — znajdziecie odpowiedź w książce Meissnera.

Dobrze, powie ktoś. Ale to nie jest powieść, tylko podręcznik. Otóż nic podobnego! Przeczytajcie „Wraki", a przekonacie się, że nie ma tam ani jednego nużącego, przeładowanego opisami technicznymi fragmentu. Przeciwnie. Akcja rozwija się żywo, opowiadanie jest tak barwne i przykuwające uwagę, że najchętniej nie odkładałoby się powieści przed jej skończeniem. Pomyślcie tylko. Nurek, Antoni Barnat, w dniach ucieczki hitlerowców z Gdyni sam jeden zatapia wielki statek „Adlernest" („Orle gniazdo"). Po wojnie Antoni schodził na złą drogę: szaber, spekulacja, walutiarstwo. Zostaje aresztowany. I oto po wyjściu z więzienia Barnat odnajduje drogę do Polski Ludowej, do swych dawnych towarzyszy walki, pracuje właśnie przy wydobyciu M/S „Adlernest". Nie byle jakich czynów w tej pracy dokonał: ura owal w czasie burzy przed całkowitym zniszczeniem za wcześnie wynurzony wrak, dwóch nurków jemu zawdzięcza ocalenie życia. Ale dość tych streszczeń — nie można w nich oddać tego wszystkiego, co we „Wrakach" tak pasjonuje. „Wraki" trzeba samemu przeczytać.

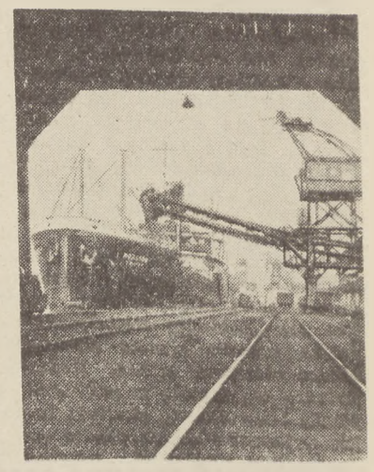

ANTONI JURSKI

Legenda amerykańska

Prezydent Eisenhower wydaje z budżetu państwa olbrzymie sumy na szkodzenie każdemu narodowi świata, nie wyłączając własnego. Nie robi tego przez wrodzoną złośliwość. Jest to skutek wszechwładzy wielkich monopoli, skutek wynaturzenia ich gospodarki, chylącej się coraz wyraźniej — mimo pozorów świetności i potęgi — ku załamaniu i nieuchronnej zagładzie.

Ale mechanizm tego wszystkiego nie jest wcale prosty. Akty wrogości okrywa płaszczyk „pomocy", na której zarabia wpływowa garść pośredników. A propaganda Stanów Zjednoczonych nie ustaje w wysiłkach malowania portretu zacnego „wujaszka Sama", który zapewnił dostatki i szczęśliwość własnym obywatelom, a teraz pragnie rozszerzyć te dary na resztę kuli ziemskiej.

Pomocą w tej robocie jest kilka legend z dawna się datujących. A do najbardziej upartych należy opowieść o gościnnych brzegach wielkiej demokracji, gdzie każdy oddycha pełną piersią w atmosferze wolności i równości; a także baśń tęczowa o amerykańskiej pomocy — szczodrej i bezinteresownej — której wspomnienie i u nas pokutuje w postaci skwerków Hoovera, pomników i placów Wilsona, czy tablic pamiątkowych. Tak więc dwaj najbardziej zaciekli przedstawiciele imperializmu USA dawnego pokolenia występują w glorii dobroczyńców ludzkości, a kraj, gdzie rasizm wszechstronny i wielopiętrowy jest zasadą rządzenia, uchodzi w oczach wielu za raj obywatelskich swobód dla tych, co się tam dostaną.

Dlaczego na tych właśnie dwóch skrzydłach szybuje propaganda szeptana i mówiona? Jedna sprawa dotyczy przeszłości dość odległej, do której, jak sądzi wielu, nie warto już wracać. A rasizm amerykański na odległość tysięcy mil oceanu zatraca swój kształt istotny wyzysku gospodarczego i swe oblicze klasowe. Jakże często stosunek nasz do Murzynów ma postać współczucia dla ludzi prawdziwie krzywdzonych, ale też niemniej prawdziwie „innych". „Coś w tym jest" — nieraz słyszymy z ust ludzi. A owo „coś" w ich pojęciu to kolor skóry odmienny, nie zaś miliardy dolarów płynące z wyzysku wszystkich grup ludności, które można uderzyć młotem dyskryminacji rasowej: Murzynów i Chińczyków, Włochów i Polaków — słowem co najmniej połowę mieszkańców USA.

Mamy teraz dni książki. Spójrzmy na wystawy, zobaczmy, do czego ma dostęp przeciętny czytelnik. Oto dwie pierwsze z brzegu broszury. Przekłady. Tłumaczyć należy rzeczy celne, naprawdę wartościowe. Nie ilość drukowanego słowa, lecz jakość i plastyka argumentów potrzebne są dla rozwiania fałszywych, a mocno zakorzenionych legend. I z miejsca doznajemy rozczarowania.

Książka Kuninej*) omawia interwencyjną politykę Wilsona, wskazuje, jak monopole za nią stojące nabierały rozpędu dla podboju świata, wydobywa z archiwów ich plany ujarzmienia Związku Radzieckiego i przekreślenia zdobyczy Rewolucji, ujawnia wielkość haraczu wydobytego z Europy w zamian za huwerowską „pomoc". Książka więc powinna zapełnić dotkliwą lukę w naszych bibliotekach. Książka jest obszerna, oparta na obfitych źródłach gruntownie przebadanych. Niestety, mamy poważne obawy, że książka nie łatwo zdobędzie czytelnika. Winą jej jest styl ciężki i niepotrzebnie demagogiczny przytłaczający tak cenny materiał. Ten jednak, kto nie zrazi się taką przeszkodą, nie pożałuje trudu: zwiedzi prawdziwą kopalnię wiadomości z dziedziny, gdzie dotychczas hulała fałszywa propaganda. Już choćby dlatego warto zasygnalizować książkę.

Inne wady ma druga broszura**). O położeniu Murzynów mamy w języku polskim całą biblioteczkę. Nie chodzi nam tutaj o dzieła takie jak świetna praca Haywooda, zbyt fachowa na szeroko rozpowszechnianą lekturę. Mamy na myśli produkcję popularną. I znów po-

wtarza się stare grzechy. Autorka książki o „Czarnej Ameryce" nie wychodzi poza opisy niedoli Murzynów, jak gdyby ich los był odrębny od losu pozostałych obywateli Stanów i tworzył smutną, egzotyczną wyłącznie wyspę na błękitnym morzu powszechnej szczęśliwości. Pomińmy już szereg błędów historycznych i faktycznych. Najważniejsze jest to, że nie widzimy korzeni rasizmu USA, nie widzimy, że jest wielopiętrowym filarem ustroju, że jego podcięcie zwaliłoby cały gmach. Rasizm jest koniecznym składnikiem imperializmu i dążeń do panowania nad światem, Dulles nie różni się od Hitlera. Ten międzynarodowy charakter zagadnienia należy jednak ukazać. Inaczej nie zrozumiemy charakteru poczynań amerykańskich w Azji i Afryce i różne „Głosy" nadal sprzedawać będą plewy za szlachetne ziarno.

Sto lat temu Harriet Beecher Stowe spisywała dzieje czarnego Wuja Toma odwołując się do humanitaryzmu plantatorów Południa. Książka wstrząsnęła światem i Ameryką. Ale nie z powodu filantropijnych akcentów. Jej siła leżała w tonach rewolucyjnych, jakie towarzyszyły ukazywaniu gnijących wiązań ustroju. O tym należy pamiętać.

Antoni Jurski

*) *A. J. Kunina „Klęska amerykańskich planów zdobycia panowania nad światem w latach 1917—1920". „Książka i Wiedza", 1952, str. 260, cen. zł 5.40.*

**) *G. S. Wojtowiczowa, „Czarna Ameryka". „Książka i Wiedza", 1953, str. 160, cena zł 4.*

Po korespondenci chłopscy o pismach masowych

JAN DANECKI

Prasa — organizator kultury

NIEDAWNO temu, kiedy na jednej z narad wywiązała się żywa dyskusja nad przyczynami słabego stosunkowo rozwoju czytelnictwa fachowej literatury rolniczej — wtedy m. in. padło takie oto wytłumaczenie:

— Przyczyną?... *Prasa.* Chłop czerpie wiedzę fachową z gazet — po co mu zatem książka rolnicza?

Masz babo placek!

Widać źle z nami, proszę szanownego doradcy, źle z naszą rewolucją kulturalną. Bo albo przyjdzie nam zrezygnować z masowego upowszechniania literatury rolnej, albo... zabrać się do zmniejszenia nakładów masowych pism wiejskich. I zmniejszać je tak długo, dopóki chłop, przyciśnięty biedą, nie chwyci się „z braku laku" za książkę rolniczą.

Nonsens? Oczywiście. Bo sprawa jest poważna.

Tkwi ona, tak mi się zdaje, w niezrozumieniu *funkcji* prasy nowego typu, w fałszywym ujęciu roli masowej gazety chłopskiej jako *podstawowego* (słusznie!), ale wciąż jeszcze *w pełni wystarczającego* (niesłusznie!) dla mas chłopskich źródła oświaty i wiedzy — jak owe dawne gazetki ludowe, na których najzdatniejsi, najbardziej wyrobieni zdobywali *całe* swe wykształcenie fachowe i polityczne.

O takiej to właśnie tradycyjnej gazecie myślał stary Kościelski ze Świątnik, który niedawno jeszcze pisał do „Gromady", że „na wsi tylko gazeta to *cały świat, nauka i rozweselenie*".

Wypływa zatem to stanowisko właśnie z niedocenienia roli masowej prasy w dziele rewolucji kulturalnej na wsi. Wszak to dzięki gazecie na wstrząśniętej i użyźnionej jej oddziaływaniem glebie umysłów chłopskich wyrastają nowe, nieznane przedtem zdolności i potrzeby kulturalne. To ona wyłania szeroki aktyw czytelników - działaczy i terenowych współpracowników, dla których niezbędne się staje *sięganie po bardziej wyspecjalizowaną broń kulturalną — prasę periodyczną i książkę.*

*

„...rozwój kulturalny klasy robotniczej i mas pracujących chłopstwa — nie tylko w sensie rozwoju elementarnej oświaty, aczkolwiek elementarna oświata stanowi podstawę wszelkiej kultury — ale przede wszystkim w sensie NABYCIA NAWYKÓW I UMIEJĘTNOSCI WNIKANIA W SPRAWY RZĄDZENIA KRAJEM — stanowi podstawową dźwignię usprawnienia aparatu państwowego i wszelkiego innego aparatu. Na tym polega sens i znaczenie leninowskiego hasła rewolucji" (Stalin).

Jest dużo głębokiej racji w zamieszczonych obok słowach korespondentki, że właśnie gazeta pierwsza przyucza chłopa do *krytyki*, do *aktywnego* stosunku względem otaczającej go rzeczywistości społecznej... że krytykować *trzeba* — o ile się ma na względzie interes ogólnonarodowy, a to właśnie znaczy *wnikać w sprawy rządzenia* gromadą, gminą, powiatem, krajem.

Po wtóre — przenosząc na wieś wytyczne Partii i Rządu, ucząc prawidłowego politycznego myślenia gazeta w spontaniczny nurt krytyki wprowadza *kryteria państwowości socjalistycznej.* Gazeta wreszcie, często sama załatwiając interwencje swych czytelników, upewnia chłopów o *celowości* tego ich rządzenia. Oto jest *pierwsza elementarna zaprawa olbrzymich mas chłopstwa do owej trudnej sztuki „wnikania w sprawy rządzenia krajem".*

A trzeba wiedzieć, że ta ożywcza fala oddolnej inicjatywy chłopskiej, powołana do ruchu przez dźwignię ludowej prasy, co dzień, co godzina wyłania wciąż nowe talenty organizatorskie, że na tej fali wyrasta i hartuje się niezliczona kadra przywódców opinii chłopskiej — terenowych korespondentów. O nich to mówił Stalin, że „w masie swojej wrażliwości, płoną iskrą prawdy"— ludzie ci „pragną demaskować, pragną za wszelką cenę naprawić nasze niedociągnięcia... nie boją się kul".

Korespondenci ci — stając się w terenie zorganizowanym ramieniem prasy — uczą się kierować inicjatywę chłopską w nurt budownictwa socjalistycznego, uczą się za pomocą gazetek gromadzkich zawracać skargi chłopskie od Warszawy, od województwa, aby na *miejscu własnymi* siłami rozwiązywać miejscowe problemy, — uczą się być *działaczami* na miarę zwiększającego się zaufania, jakim obdarza ich okoliczne chłopstwo.

W ogniu tej walki szybko odbywa się rozwój korespondenta jako społecznego działacza — nie jest wyjątkiem piszący obok Edward Suchora, który w ciągu kilku lat współpracy z „Chłopską Drogą" wyrósł z prostego chłopaka wiejskiego na sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, potem — przewodniczącego GRN, sekretarza Komitetu Gminnego, aby wreszcie przejść do odpowiedzialnej pracy w Komitecie Powiatowym Partii.

W tym trudnym wzroście korespondent odczuwa pomoc i opiekę swojej gazety. Ona udziela mu wskazówek listownie i w osobistym kontakcie, przesyła materiały szkoleniowe i potrzebniejsze książki — w pełni doceniając fakt, że im więcej rośnie korespondent, im bardziej odpowiedzialne jego zadania w terenie — tym *ostrzejszych, bogatszych, precyzyjniejszych potrzebuje kulturalnych narzędzi działania.*

Tak więc korespondent, choć nierozerwalnie związany z gazetą, siłą rzeczy *wyrasta ponad poziom jej przeciętnego odbiorcy.* Jego rosnących potrzeb kulturalnych nie może już zaspokoić samo tylko „macierzyste" pismo masowe. Znam korespondentów, którzy obok „swojej" gazety, której na ogół zawsze pozostają wierni — prenumerują szereg pism fachowych i politycznych; spora część systematycznie czyta „Nowe Drogi", niejeden sięga bezpośrednio do klasyków marksizmu, prawie każdy gromadzi w domu pokaźną biblioteczkę, zapoczątkowaną przez książki, przysłane przez redakcję w nagrodę za korespondencję. Zawczasu zaś niemal wszyscy (mowa o prawdziwych korespondentach, a nie tylko pozornych) — dopracowują się wyższego poziomu kulturalnego, podciągają się, stawiają sobie jako honorowe zadanie wychowanie nowych korespondentów, wchodzą w skład miejscowego aktywu kulturalnego, ciągną do swego poziomu gromadę.

W ten sposób masowa gazeta chłopska tworząc zorganizowaną sieć terenowych współpracowników wypełnia zarazem funkcję *organizatora kultury;* jej upowszechniania i uspółcześniania w tym najgłębszym, aktywnym, leninowskim sensie.

*

Jeżeli zatrzymamy się nawet nad najbardziej „elementarzowym" wiejskim pismem masowym — „Gromadą-Rolnikiem Polskim" — zobaczymy, jakie to pismo — napomykając (a nie wyczerpując!) o tysiącach zagadnień, znajduje odzewy, jeśli nie w milionach, to w dziesiątkach tysięcy czytelników.

— Osobnej strony na poradnictwo weterynaryjne, bo lekarzy weterynaryjnych jest bardzo mało, a zwierzęta zapadają stale na różne choroby — szerokich porad fachowych o pszczelarstwie i hodowli owiec, bo teraz na dużą skalę hodowlę owiec się stosuje, a ludzi fachowych do hodowli mało;

— „poradnika o budowie detektora radiowego i jego części składowych, gdyż pragniemy własnym rękoma zbudować tak cenny dla nas aparat";

— „zamieszczania w każdym numerze inscenizacji, recytacji, piosenek, wierszy na użytek świetlic gromadzkich";

— „więcej wiadomości o sławnych ludziach, książkach, filmach, dodatków książkowych z ilustracjami i na dobrym papierze";

— „wydawania słownika języków obcych, bo teraz dużo czytamy książek i zdarzają się często obce wyrazy";

— „specjalnego dodatku geograficznego, z tym, aby na pierwszej stronie umieścić mapę danego kraju, następną stronę przeznaczyć na opis geograficzny a pozostałe 2 strony na różne zdjęcia opisywanego kraju, jak góry, miasta, zabytki, fauna i flora".

Czy gazeta masowa może spełnić te wszystkie życzenia? Nie może, chociażby nawet objęła nie 16 stron — jak tego domagają się czytelnicy — ale 30 stron w każdym numerze. Prasa *periodyczna:* polityczna, rolnicza, techniczna, literacka, popularno - naukowa, broszura specjalizacyjna i książka — one dopiero mogą w pełni rozwiązać problem — a gazeta spełnia tu funkcję *przygotowania i zainteresowania* swojego czytelnika.

Czego zatem świadectwem są listy czytelników „Gromady"? Mówią one, że pismo masowe przestało już dawno być „całym światem, nauką i rozweseleniem", jedyną, a z konieczności wąską „encyklopedią" chłopską — a staje się niezależnie od innych zadań *przewodnikiem* do szerszych, bardziej skomplikowanych i wyspecjalizowanych wytworów kultury. Mówią one, że pismo masowe podnosi swoich czytelników na coraz wyższy poziom kultury, że rozszerza i pogłębia ich zainteresowania i potrzeby kulturalne, że, co więcej, wyłania spośród nich coraz to nowych „przodowników w czytaniu", którzy *więcej wiedzą i więcej szukają* i którzy — sięgając po pismo fachowe, broszurę i książkę — wykorzystują je dla podniesienia poziomu swego otoczenia. Oto też *kadra rzeczywistych i potencjalnych organizatorów kultury w terenie.*

Jan Danecki

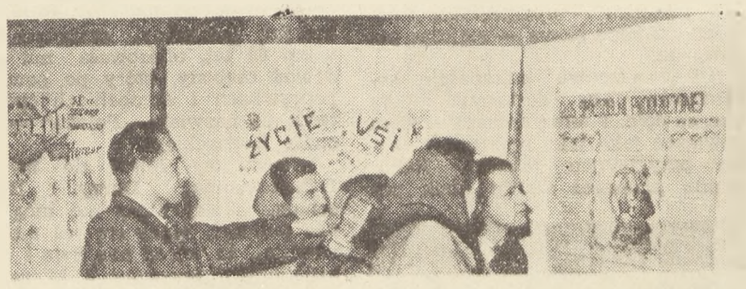

Z „Chłopską Drogą" zetknąłem się jeszcze w r. 1946, w czasie służby wojskowej.

Polubiłem ją wtedy od razu, a zwłaszcza środkową stronę — „Listy ze wsi", w które wczytywałem się każdego tygodnia. Nieraz na wspomnienie zamieszczonej tam wzmianki, że komuś biednemu w terenie dzieje sie krzywda, pod wrażeniem opisywanej w tych listach mozolnej walki, jaką toczyło chłopstwo i nasza Partia z panoszącym się jeszcze kułactwem, spekulantami i tępą biurokracją — serce zrywało się mocniej do rozprawy z wrogiem; to mnie zagrzewało do walki, którą toczyliśmy wtedy z bandami UPA.

Od chwili powrotu do domu stałem się jednym z prenumeratorów „Chłopskiej Drogi". Dalej czytałem pilnie listy ze wsi, komunikaty, artykuły terenowe — porównywałem to wszystko z naszym życiem w gromadzie i doszedłem do wniosku, że u nas jest niewesoło i że ze złem trzeba walczyć. Wtedy dojrzała we mnie myśl wysłania pierwszych korespondencji. Otrzymywane z redakcji odpowiedzi dawały mi wówczas największą radość. Przekonałem się, że mimo, iż niektóre listy nie zostały wydrukowane, nie przebrzmiały bez echa. Dzięki pomocy redakcji załatwiony został w naszym terenie szereg spraw, które hamowały nasz rozwój i psuły krew pracującym chłopom: usunięty niedołężny zarząd GS w Potoku, który paraliżował zaopatrzenie gminy, zabezpieczone rozgrabiane mienie społeczne po zdemantowanej gorzelni Potoczek, zdemaskowane oszustwa gruntowe kułactwa w wielu gromadach gminy, zlikwidowana kumotersko - biurokratyczna klika w szpitalu powiatowym w Janowie Lubelskim i wiele, wiele innych.

W odpowiedziach z redakcji otrzymywałem nie tylko wyjaśnienie, jak poruszona przeze mnie sprawa została załatwiona, ale również wytyczne do dalszej korespondencji. W niektórych wypadkach redakcja zwracała mi uwagę, bym nie pisał nerwowo (co często robiłem), kazano mi namyślać się przed napisaniem, lecz to wszystko nie rozbrajało mnie, a mobilizowało i nabieralem do gazety coraz większego zaufania.

Do mnie zaś zaufania nabierali ci, w których interesie występowałem: mało i średniorolni chłopi — ci nawet, którzy w pierwszych początkach nastawieni przez kułaków bali się ze mną rozmawiać. I to decydowało o skuteczności mej pracy.

„Chłopska Droga" łączy w sobie szeroką informację polityczną z konkretnym, rzeczowym wnikaniem w sprawy terenu. Język jej prosty, dostępny dla każdego — dużo celnej, dowcipnej satyry. Zamieszcza obszerne fragmenty powieści polskich, radzieckich i postępowych pisarzy zachodnich — w ten sposób wprowadza do czytania literatury pięknej. Poza tym, co ważne dla wsi, prowadzi stały dział poradnictwa fachowego oraz dział popularno-naukowy.

Myślę, że „Chłopska Droga" jest jednym z najcenniejszych pomocników politycznego działacza na wsi. Zaopatruje go w niezbędną orientację i wiedzę, uczy myśleć, wzbogaca, pomaga rosnąć jako aktywiście. Odczułem to osobiście: w ciągu kilku zaledwie lat wyrosłem najpierw na sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej w r. 1948, z kolei na wiceprzewodniczącego GRN i sekretarza K. G. PZPR. I dziś, kiedy pełnię funkcję kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Powiatowego, tym silniej z perspektywy lat uświadamiam sobie, ile zawdzięczam „Chłopskiej Drodze".

Edward Suchora
Biała Podlaska

NIECH ŻYJE SOJUSZ ROBOTNICZO - CHŁOPSKI

SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA

Tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna" czytam niemal od chwili powstania spółdzielni w naszej gromadzie Radów.

Co mnie najbardziej interesuje w mojej gazecie? Chyba wypowiedzi doświadczonych spółdzielców, którzy już nauczyli się po nowemu gospodarować i teraz przekazują swą wiedzę nam, młodym. Dalej, artykuły o spółdzielniach produkcyjnych w bratnich krajach Demokracji Ludowej: w Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Niemieckiej Republice Demokratycznej — pisze o tym nasza gazeta dość często. Wreszcie, najchętniej czytam o doświadczeniach i życiu kołchoźników radzieckich — to jest najbardziej pouczające.

Ja, od kiedy wstąpiłam na nową drogę, chcę się dobrze wzorować na bohaterskich kobietach radzieckich, aby żyć lepiej, raźniej i mądrzej — i to mi też ułatwia nasza gazeta.

Jestem od niedawna korespondentem „Spółdzielni Produkcyjnej" i dwa moje listy, choć nie były jeszcze wprawne, zostały wykorzystane na łamach pisma. Otrzymałam za to nagrodę w postaci dwóch ciekawych książek.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, prosta wiejska kobieta, że „Spółdzielnia Produkcyjna" w krótkim czasie wychowała mnie na świadomego członka spółdzielni. A najważniejsze z tego, czego mnie nauczyła — to rozumieć krytykę i samokrytykę. Dawniej często się obrażałam, gdy mi zwracano uwagę. Od kiedy czytam „Spółdzielnię Produkcyjną", jej krytyczne artykuły i interwencje oraz listy redakcji do mnie osobiście — ten stosunek się zmienił. Teraz chciałabym, żeby i mnie krytykowano i ktoś mi pokazywał moje błędy — bo ja moich błędów nie dostrzegam, a zrozumiałam dzięki gazecie, że się na błędach uczymy.

Leokadia Falińska
RZS Radów

*

Jestem pracownikiem Wydziału Politycznego w POM Wągrowiec. Przedtem pracowałem w przemyśle. Na rolnictwie niewiele się znałem. Niełatwo więc przyszło mi wprowadzić się w nową pracę—i tu taj przyszedł mi z dużą pomocą tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna", zwłaszcza zamieszczane systematycznie artykuły z dziedziny agrotechniki, hodowli, organizacji pracy w rolnictwie socjalistycznym. Żywe przykłady z terenu pomagały mi w prowadzeniu zebrań, bo mówi przysłowie „chłopa przekona się najlepiej przykładem". Dużą pomocą były mi także rysunki satyryczne z ostatniej strony. I krytyka pod adresem członków spółdzielń i POM-ów, która często pasowała do naszego terenu.

Tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna" jest dla mnie nieocenionym pomocnikiem: w tece mam zawsze powycinane ważniejsze i aktualniejsze artykuły, z których korzystam w terenie. Miałbym do redakcji tylko jedno życzenie: aby częściej omawiała najnowsze doświadczenia kołchozów radzieckich

Edward Kanteckl
POM Wągrowiec

Gromada Rolnik Polski

Gdybym miał w jednym zdaniu opowiedzieć, co myślę o mojej gazecie „Gromada — Rolnik Polski", odpowiedziałbym prosto: to „cudotwórca", kuźnia serc i umysłów oraz rozrywka po ciężkiej pracy.

„Cudotwórca", bo mój orzech włoski rodzi za jej madrą poradą, bo Grzyb Józef, Silezin Antoni, Wenek Józef i inni z jej zachęty założyli kupy kompostu, które swoim cennym nawozem użyźniają nasze ogrody, pastwiska, a nawet pola (miałem w tym roku len nad podziw — czegoś podobnego na tej działce nikt nie pamięta, a Grzyb i Silezin nie tylko len, ale i prosa na kompoście ładne miewają). A „cudotwórstwo" to nie zaczarowane, lecz naukowe, oparte na nowoczesnych zdobyczach wiedzy, dlatego tak wielkie wydaje owoce na pożytek nasz chłopski i Ludowej Ojczyzny.

Kuźnia serc i umysłów — bo wykuwa nasza gazeta pod strzechami chłopskimi nowych ludzi, nowe ich zapatrywania. Podam taki przykład: Przychodzi do mnie sąsiad, czytelnik „Gromady" i mówi: Wiecie co, Wenek, tytuł winien brzmieć „Gromada Rolnika Polskiego". Bo gromada — powiada — decyduje, czy ten lub ów rolnik zasługuje na wyróżnienie, czy też nieraz trzeba go zwolnić z różnych obowiązków. Gromada za dobre chwali, za złe gani, krytykuje kumoterskie stosunki sołtysa, sklepowego, Komitetu Członkowskiego itp. Czyż to nie Twoja nauka — gazeto nasza kochana, która przeobrażasz umysły chłopskie?

A rozrywką dlatego, bo pisana jest lekko, zrozumiale, ciekawie — i nie zmęczysz się nad nią, gdy wieczorem po całodziennym trudzie usiądziesz wraz z dziatwą poczytać, co się dzieje na świecie. Jedno tylko miałbym życzenie: aby więcej było w „Gromadzie" humoru. Humor przyciąga początkujących — szuka za nim po całej gazecie i mimo woli czyta chociażby wszystkie nagłówki, aż staje się nałogowcem czytania. Ale i nam „starym" czytelnikom raźniej się czyta, kiedy pisane weselej. Niechby też były na ostatniej stronie zagadki i łamigłówki — to ważne dla młodych. Ja swemu synowi prenumeruję „Swiat Młodych" a córkom „Świerszczyka". I wiecie, co oni czytają? Najwięcej bajki i zagadki. Tego mam dosyć, bo stale muszę rozwiązywać nowe zagadki. Niech spróbuję której nie odgadnąć, to radość córkom wyciska łzy z oczu, że tata nie wie, a one wiedzą. Więc apeluję do redakcji, żeby dawała więcej humoru i łamigłówek, to się młodzi w długie wieczory poschodzą i od humorów, łamigłówek zaczną czytać i stronę polityczną, a z tego będą czytać i całą gazetę. **Józef Wenek**
Łukowa, pow. Biłgoraj

Przyjaciółka

TYGODNIK „Przyjaciółka" dociera prawie do każdego domu w naszym kraju, tak w mieście, jak i na wsi. Dlaczego „Przyjaciółka" jest taka poczytna? Bo „Przyjaciółka" nie tylko informuje kobiety, nie tylko poszerza naszą wiedzę o świecie, ale potrafi dobrze poradzić w wielu osobistych kłopotach i troskach, dopomóc w wielu praktycznych problemach naszego codziennego życia.

Weźmy dział „Radości i smutki" — jest on pisany w języku tak prostym i takie codzienne sprawy porusza, że niejedna z nas znajduje tam na swoje kłopoty odpowiedź i radę.

Tak samo w „Listach Pani Ireny", „Przyjaciółka odpowiada" i „Radzimy sobie wzajemnie", gdzie wymieniają między sobą swe doświadczenia same czytelniczki. Kobietom gospodarującym w domu, które gotują i szyją, bardzo dużo dają pokazy kroju, wzory robót ręcznych oraz rubryka „Co gotujemy na obiad". Krótko, ale rzeczowo prowadzone są w każdym numerze notatki z pracy Kół Gospodyń Wiejskich.

Bardzo popularne wśród czytelniczek są „Rozmowy z lekarzem" — a ważne są one szczególnie na wsi, gdzie tak często jeszcze trzeba toczyć boje z babskimi zabobonami. Dla młodych dziewcząt dużą rolę odgrywa stała informacja o szkoleniu w różnych zawodach. Danuta Hertel czołowa w naszym województwie bibliotekarka (pracuje w Powiatowym Domu Kultury w Iławie) właśnie „Przyjaciółce" zawdzięcza ten piękny zawód, w którym teraz tak jest rozmiłowana; w niej to wyczytała o szkoleniu bibliotekarzy.

Przejdźmy na ostatnią stronę pisma: „Mówią korespondenci". Tu z radością czyta korespondent swoją notatkę. Bo na taką armię korespondentów jak w „Przyjaciółce", na taką ilość listów, jeśli coś się umieszcza, to naprawdę musi wiele dać społeczeństwu. Wreszcie dział zagadek i rozrywek — bardzo popularny wśród czytelniczek.

W moim osobistym życiu gazeta ta odegrała bardzo wielką rolę: była mi „Przyjaciółką" nie tylko z nazwy. Nauczyłam się z niej wiele. Odpowiedzi na listy, szczere, życzliwe rady zachęciły mnie do tego, że w 1947 r. napisałam długi i szczery list o moich kłopotach osobistych. Prawda, że czekałam na odpowiedź dość długo, ale otrzymałam tak serdeczną, że mnie wzruszyła do głębi. Pierwszy obszerny mój artykuł „Dlaczego podpisałam" powstał w czasie zbierania podpisów pod Apelem Pokoju. Na ten artykuł dostałam bardzo dużo listów od ludzi, którzy myślą tak jak i ja. Ale i kilka anonimów, w których groził mi wróg klasowy. Z dumą muszę powiedzieć, że moje następne listy spełniały zadanie, skoro interwencje na terenie naszego powiatu okazywały się słuszne, uderzały w kumoterstwo i brakoróbstwo oraz w pijaństwo.

Wanda Augustynowicz
Hawa, pow. Susz

ROBOTNIK ROLNY

TYGODNIK MINISTERSTWA P.G.R. I ZWIĄZKU ZAW. PRACOWNIKÓW ROLNICTWA

„Robotnik Rolny" nosi charakter głównie produkcyjny. Dzieląc się z czytelnikami osiągnięciami co lepszych PGR uczy pracy w gospodarstwie socjalistycznym. Tak samo pokazując krytycznie błędy i niedociągnięcia wskazuje innym, czego należy unikać w pracy. Wiele takich artykułów pozwoliło i nam dostrzec błędy i zlikwidować je.

Dobrze redagowany jest krytyczny dział pt. „Kłonicą". Umiejętnie opracowane, często z utalentowaniem i humorem, ilustracje i podpisy przyjmowane są z zadowoleniem (proszę nie myśleć, że przez tych, kogo przedstawiają). Szerokie uznanie zdobyły sobie satyryczne artykuły Wojciecha Skowrona. „Poczta Robotnika Rolnego" — to niezbędna rozmowa z czytelnikami. Tak samo ważny dział „Prawnik radzi".

Materiały szkoleniowe pozwalają usuwać stare metody gospodarowania i uprawy gleby. Podnoszą wiedzę zawodową. Sądzę tylko, że za mało jest przykładów z pracy sowchozów radzieckich — redakcja winna zamieszczać je w każdym numerze.

Wiadomości z kraju i zagranicy podane zresztą bardzo jasno i zrozumiale — też moim zdaniem, zbyt skąpe. Czytelnicy na ogół czytają tylko jedną gazetę, więc chcieliby mieć więcej wiadomości ogólnych.

Cenną inicjatywą było wprowadzenie działu „Młody Robotnik Rolny" — zagadnienie młodzieży jest u nas palące. Jest to dział jeszcze młody i skromny — trzeba, abyśmy mocniej zachęcali naszą młodzież do współpracy z gazetą.

Tyle moich uwag do naszej gazety. Jakie miałbym wnioski? Najważniejszy jest taki: uważam, że „Robotnik Rolny" winien wychodzić nie raz, ale dwa razy w tygodniu. Mógłby wszystko ujmować szerzej i lepiej, służyłby czytelnikowi, który przeważnie poza nim żadnej innej gazety nie czyta. Dobrze byłoby, aby gazeta, wychodząc dwa razy na tydzień, dawała do niedzielnego numeru okładkę ilustrowaną wzorem „Gromady".

W naszym gospodarstwie „Robotnika Rolnego" prenumerują wszyscy pracownicy, od samego początku czytamy go wspólnie i dyskutujemy. To dużo nam dało, zwłaszcza przy wykonaniu planów w r. 1952. Ustrzegliśmy wszystkie plony od strat, nie zmarnowaliśmy ani kłosowych, ani okopowych, wykonaliśmy plan produkcji zwierzęcej. Podniosła się dyscyplina pracy, ulepszył rozrachunek gospodarczy, wzrosła troska o mienie społeczne.

Andrzej Gąska
PGR Łyszkowice
pow. Łowicz

RYSZARD PSZCZÓŁKOWSKI

KROMKA CHLEBA

(Opowiadanie)

Tuż za Bahnkomando posuwał się podpierając się okutą laską wysoki, przygarbiony Bahnschutz, wyrzucając co chwila z gardła chrapliwe okrzyki: „Loos. Loos, schnell, schnell!"

„Psiakrew" — zaklął ktoś z cicha, mierząc wprawnym okiem długi jak tasiemiec rząd wagonów naładowanych po brzegi kopalniakami — „Do rana nie uporamy się z wygruzowaniem"

Jakoż po chwili kilku zwinniejszych wdrapało się na wagony i strącało łopatami wielkie czapy śniegu, które nakryły wagony, a teraz srebrzystym puchem sypały się na głowy czekających na dole.

Wreszcie zgrabiałe, popękane od deszczu i wichury ręce poczęły chwytać oślizłe bale, odrywając je z trudem jeden od drugiego.

„Te cholery — mruknął ktoś — pokradną chyba wszystkie drzewa w Rosji. Dzień w dzień zajeżdżają tutaj dziesiątki pociągów z drzewem, a te diabelne kopalnie w Gelsenkirchen żrą je i żrą bez liku. Może się wreszcie nim kiedyś udławią".

„Oby jak najprędzej" — odkrzyknąłem z góry słysząc wymyślania starego Walendzika, chłopa z Siedleckiego, który miał dobre serce i zawsze litował się nad „biednym" jak mówił „drzewkiem" ściąganym przez hitlerowców z całej Europy do kopalni Westfalii.

„Łapaj" — zawołałem rzucając mu pod nogi żartem oblodzony okrąglak i odwróciłem się, aby sięgnąć po następny.

I nagle... ręka moja natrafiła na coś miękkiego, podłużnego, co w żadnym jednak wypadku nie przypominało drzewa. Ręka moja dotknęła chropowatego, zmrożonego sukna, które nagle poruszyło się.

— Ki diabeł? Niemiec? Pasażer na gapę, czy jakiś zbieg?

— Rzucaj! — zakrzyknięto z dołu. — Czego się grzebiesz? Nie wygruzimy tego wagonu do młodych kartofli!

— Ciiicho!... — syknąłem — tu ktoś jest.

— Cooo? — odkrzyknięto z dołu, ale nie zdążyłem odpowiedzieć, bo oto postać leżąca pomiędzy balami poruszyła się, a z niewidzialnych ust popłynął szept:

— Tawariszcz — dalioko do fronta?

— Jeniec rosyjski! — zaświtało mi nagle w głowie. — Aleś się, bracie, wybrał w odpowiednią stronę! O ironio losu...

Wiedzieliśmy o tym, że w dalekiej republice łotewskiej przy wyrębie lasów i załadunku kopalniaków pracują jeńcy radzieccy, nieraz bowiem na wagonach, które przychodziły do nas, spotykaliśmy słowa nabazgrane ręką niewprawną kredą czy węglem: **„Pobiedim!" „Smiert' germanskim zachwatczikom!" „Stalin pabiedit!"**

Słowa te niosły nam, robotnikom

Rys. K. Latałło

polskim, wywiezionym na pracę przymusową do Niemiec, otuchę i nadzieję pod gradem bomb, które często sypali na nasze baraki (ale nie na kopalnie) anglo - amerykańscy „przyjaciele", że i „na naszej ulicy" — jak głosił kiedyś napis na wagonie — „budiet prazdnik".

Ale, że w tej chwili w głębi faszystowskiego kraju, w centrum zbrojowni hitlerowskiej, w Westfalii, spotkam się oko w oko z jednym z tych, który wykradłszy się z lasów łotewskich pytał „kak dalioko do fronta"—tego się nigdy nie spodziewałem.

— Cóż tam robisz do jasnej anielki! — zakrzyknięto znowu z dołu.— Bahnschutz idzie w naszą stronę. Rzucaj do diabła te obałki!

Ze zdwojoną energią zacząłem wyszarpywać sąsiednie, zmarznięte obałki, które z furkotem śmigały teraz w dół.

Wokół skulonej postaci zrobiło się wreszcie luźniej. M mo panującego półmroku mogłem teraz dość wyraźnie rozpoznać sylwetkę w burym szynelu i charakterystycznej czapce z nausznikami.

— Tawariszcz! — usłyszałem po chwili znowu cichutki szept. — Dalioko do fronta?

— Padażdi! — wygrzebałem z pamięci znajome słowa — siejczas pagawarim.

Rzuciłem znowu kilkanaście kopalniaków, aby dostarczyć roboty tym na dole, i teraz dopiero mogłem nawiązać jako tako rozmowę z moim przygodnym gościem. Bahnschutz przeszedł akurat obok porykując swoje: „Loos... loos, schnell, schnell" i wsiąknął w ciemność.

Wtedy gwizdnąłem z cicha na Walendzika.

— Rusek? — szepnął mi do ucha trącając łokciem.

Z trudem podźwignęliśmy go. — Do breka z nim! — zadecydował szybko Walendzik. Misza, bo tak, jak się później okazało, zwał się nasz „przybysz", usiłował podźwignąć się, co mu się jednak nie udało. — Ale go urządzili cholery!— zaklął Walendzik.

Gdy miałem już zatrzasnąć brek, Misza wyszeptał jeszcze trzy słowa: „Druzja, Palaki — kuszat'..."

Obmacałem szybko kieszenie. W jednej z nich znalazłem kromkę czarnego czerstwego chleba nadgryzionego już przeze mnie na „frysztyk". Misza wyciągnął po nią zimną, wyschniętą rękę takim gestem, jakim tonący wyciąga dłoń po deskę ratunku.

„Tolko kuszaj pomaleńki"—szepnąłem znowu, zdawałem sobie bowiem sprawę, że kromka ta może kosztować go życie. — Spasibo, balszoje spasibo" — odszepnął Misza, przytrzymując moją rękę.

Misza został już u nas.

Nie wpadł w ręce siepaczy hitlerowskich. Stara babka Kornacka, nasza obieraczka kartofli, której „palec" (polski dowód osobisty) nie był już potrzebny, skończyła bowiem 60 lat, ofiarowała mu swój dowód osobisty, który po pewnych poprawkach i skrobaniach opiewał teraz na nazwisko „Polaka" — Michała Kornackiego.

Wkręciliśmy Miszę do naszego Bahnkomanda. Durny Bahnschutz, który nigdy nie mógł się nas doliczyć, nigdy się też nie dowiedział, że wśród nas żyje i oczekuje chwili wyzwolenia Misza, jeniec rosyjski, przybyły z dalekiej Łotwy, którego towarzysze tam na Łotwie spełniając jego życzenie „zapakowali" do wagonu z kopalniakami chcąc mu w ten sposób umożliwić dotarcie na front.

Znalazł tutaj pomoc, serce i k r o m k ę chleba u polskich przyjaciół, kromkę chleba, której nigdy nam nie zapomniał, kromkę czarnego jak jego ziemia razowca, kromkę, o której wciąż wspominał gawędząc z nami w wolne wieczory zimowe i opowiadając nam o pięknej, szerokiej Ukrainie, o swoim kołchozie, który trzeba będzie odbudowywać po wojnie i niepotrzebnie wcale zapewniał nas, że kromkę tę zwróci nam z podziękowaniem w przyszłości...

Zwrócił mi ją w rok potem jego brat — Wasyl, gdy los zagnał mnie na okopy pod Olsztyn. Był również w takim samym szarym płaszczu i śpiewał przy akompaniamencie świszczącego wiatru pruskiego, sypiącego w oczy śniegiem, „Rozkwitały jabłoni i gruszy". Wąsaty, wiecznie uśmiechnięty Wasyl wygrzebał wtedy kromkę chleba z kieszeni podszytego wiatrem szynela i podał mi ją w chwili, gdy padałem z głodu i zmęczenia w mroźny styczniowy poranek przy rozbijaniu zamarzniętej ziemi, po której toczyły się wielkie czołgi z czerwoną gwiazdą, niosące ze sobą dla mnie i mojego kraju nie tylko wolność, ale i chleb — dużo chleba, którego nigdy już nie zabraknie dla nikogo w naszej Ludowej Ojczyźnie.

Za to wszystko odpowiadam i mojemu Miszy, i mojemu Wasylowi, i wszystkim ludziom radzieckim tymi samymi słowami, które wyrzekł do mnie Misza w breku „towarniaka" w Gelsenkirchen „Spasibo, druzja — balszoje spasibo!"

Ryszard Pszczółkowski

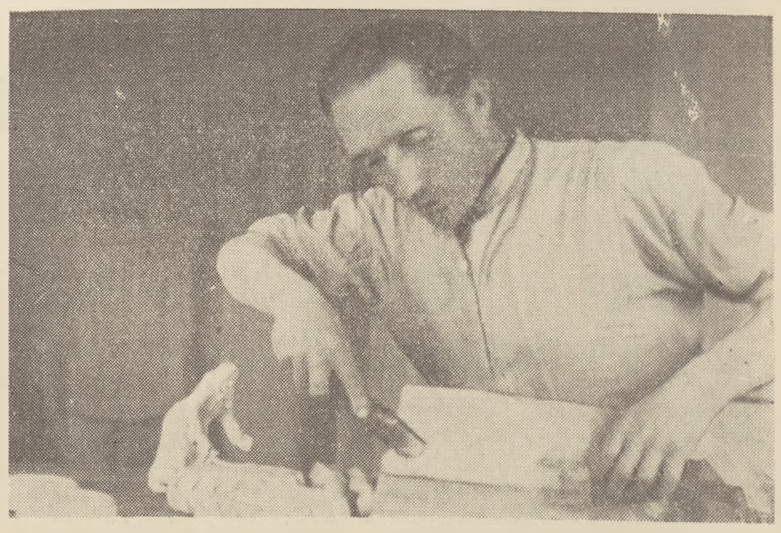

Tadeusz Szkodziński przy rzeźbieniu cyklu „Żniwa"

KRYSTYNA PAŁYS

„ANTEK" OSTRZEGA!

SIEDZĄC w domu pomagał czasem przy gospodarstwie, albo przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dłutko, pilnik i świderek i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko, szynkarz. Na co?... Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Albo kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie grusze i wiśnie, choć niby

Babka z sierpem

wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek."

W tym, co wyżej przytoczono z noweli Prusa, trzeba tylko zmienić imię Antek na *Tadek*, nadmienić, że wioska leży *nad Bugiem* nie nad Wisłą a nasz rzeźbiarz *nie poszedł w świat*. Został w rodzinnej wsi. Wieś ta nazywa się Liszna i leży osypana piachem na równinie, błyskając niewielkimi okienkami bielonych chałup.

U Jana Szkodzińskiego, gospodarza na sześciu morgach piachu, przychodziło na świat jedno dziecko po drugim. Gdy doliczył się dwunastego, Tadek miał już kilka lat. Stary strugał kołowrotki a miał do tego żyłkę i sławę we wsi. Nie zdążył jednak wyuczyć sztuki chłopaka, zmarł przedwcześnie, zmarła też połowa dzieci. Tadek nie dociągnął do szóstej klasy, poszedł na służbę do dróżnika i pasał krowy nad Bugiem.

W niedzielne przedpołudnia gapił się jak zahypnotyzowany na kapiące od pozłoty figury w ołtarzu kościelnym, a gdy wracał do domu, chwytał za nóż i zaczynał z pasją obrabiać wyciągnięty z kąta klocek olszyny. W pierwszej fazie jego twórczości powstały różne świątki do przydrożnych kapliczek, ba — doczekał się nawet zamówienia nie byle jakiego. Do dziś stoi na chórze kościelnym Dawid grający na harfie.

Etap świątków zakończył przymusowy wyjazd na roboty do Niemiec hitlerowskich.

✲

W maju 1952 roku odszukał Tadeusza Szkodzińskiego znawca sztuki ludowej regionu lubelskiego, prof. Świeży, oglądał jego „Prządkę" i *Gzyms*, (prace powojenne) i zaproponował, żeby wysłał je na wystawę sztuki ludowej Podlasia w Białej. Dziełem nieznanego rzeźbiarza zainteresował się Wydział Kultury przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie i zakupił eksponaty, które obecnie znajdują się w Muzeum Ziemi Lubelskiej. Sam artysta otrzymał zaproszenie na zjazd twórców ludowych w Lublinie, a tu wybrano go jako delegata na zjazd warszawski. W stolicy zobaczył wielu takich jak on, którzy do niedawna tworzyli w odcięciu od świata i anonimowo, dając tylko ujście wrodzonym zamiłowaniom i pędowi do piękna. Zobaczył ich dorobek.

✲

Od zjazdu warszawskiego datuje się trzeci okres w twórczości Szkodzińskiego. Zastaliśmy go tej wiosny nad cyklem, któremu można dać nazwę „Żniwa". Stara babka z sierpem w ręku zastygła w momencie, gdy sięga po garść dojrzałego zboża. Jest bardzo naturalna i harmonijna w ruchu, z drobniutkiej twarzy wyglądają długie lata przepracowane w jarzmie sierpa. W niewielkim kawałku osikowego drzewa zamknął rzeźbiarz wszystko, co składa się na uosobienie historycznego, minionego już trudu i znoju wiejskiej kobiety. U kosiarza podcinającego szerokim ruchem pokos zboża gęsta siatka żył opina obnażone do łokcia ręce. Tak akcentuje Szkodziński w rzeźbie miejsca węzłowe głównego wysiłku. Czym ma zamiar uzupełnić swój cykl, łatwo się domyśleć patrząc na niewykończonego jeszcze konika podlaskiego. Zaprzęgnie go na pewno do snopowiązałki. Masywne koła traktora i kawałek drzewa, w którym zarysowuje się kadłub maszyny i usadowieni na nich ludzie, zamkną ten cykl historii rewolucji w pracy na wsi.

✲

Szkodziński ma żonę i dwoje małych dzieci w ojcowskiej chacie, obrabia swój mórg czy dwa, ale zamiłowania do gospodarki nie ma. Każdą wolną chwilę poświęca rzeźbie operując nadal tylko dłutem i nożem.

— Słyszałem, że są różne narzędzia rzeźbiarskie, ale ich w życiu nie widziałem, tak samo jak prawdziwego (miał na myśli *wyszkolonego*) rzeźbiarza.

W jednym z kół traktora widnieje szczelina. Mokry materiał drzewny schnie już po wykonaniu i pęka. Patrzę na tę szczelinę i zadaję sobie w duchu pytanie: *Czy w całym powiecie bialskim nie można znaleźć jednej wyschniętej lipy, czy też referent kulturalny z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej nie potrafił postarać się o przydział dla*

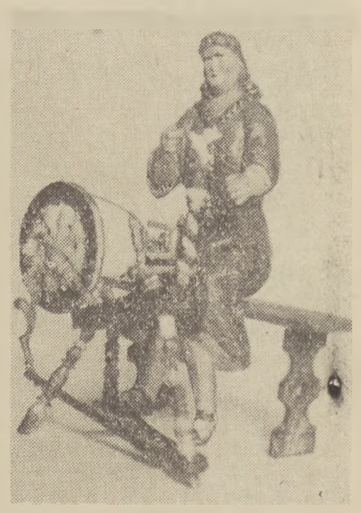

Prządka

jedynego rzeźbiarza ludowego w Lubelszczyźnie?

Dotychczas bowiem nie widać zainteresowania twórcą ludowym ze strony prezydium PRN, chociaż jego prace jako jedyne reprezentowały na wystawie w Białej rzeźbę ludową.

Czy „Cepelia" nie ma obowiązku otoczyć opieką Szkodzińskiego, tzn. po pierwsze, objąć jego pracę stałymi zamówieniami i po drugie znaleźć miejsce dla rzeźbiarza w swoich warsztatach?

Ma obowiązek, bo rzeźbiarz jest młody, utalentowany, pełen zapału i inicjatywy, a żyje na całe szczęście nie w czasach, gdy Bolesław Prus, świetny nowelista i powieściopisarz szukał w pozytywizmie drogi do ustroju sprawiedliwości.

Krystyna Pałys

LUDWIK MAJ

O SATYRZE I KARYKATURZE

(Na marginesie narady satyryków)

Przypadkowo znalazłem się na II Ogólnopolskiej Naradzie Satyryków. Przypadkowo — ponieważ ja, chłop prosty orzący ziemię podhalańską, ani satyr nie piszę, ani karykatur nie rysuję. Jednak nie może być obojętna dla chłopa pracującego nasza współczesna socjalistyczna satyra — jest ona ważnym orężem w walce klasowej na wsi.

Z paru wygłoszonych na zjeździe referatów wynikało (zresztą życie to najlepiej potwierdza), że nasza satyra cierpi jeszcze na mieszczańskie nawyki, że nie zawsze spełnia swoje wielkie zadania. A przecież satyra to nie „mała forma" pisarstwa realistycznego, ale poważny czynnik utrwalający nasz ustrój, nasze zwycięstwa w walce klasowej.

Satyrę socjalistyczną powinny cechować: odwaga, spostrzegawczość, szybka orientacja, znajomość życia i terenu, dowcip, pasja, żarliwość i zapał, miłość i nienawiść — a to wszystko w oparciu o nasz światopogląd socjalistyczny z wyraźnym celem zdemaskowania wroga klasowego, niesienia aktywnej pomocy w budowaniu nowego życia. Że nie zawsze tak jest — nie trudno dostrzec przeglądając pisma i dodatki satyryczne.

Nie dobrze się stało, że na tę naradę nie zaproszono satyryków z pism prowincjonalnych czy centralnych, które to pisma dopracowały się niejednego dobrego i życiowego dodatku satyrycznego. Połączone doświadczenia w niejednym mogłyby pomóc centralnemu tygodnikowi satyrycznemu, jakim są „Szpilki".

Nie należy mierzyć dorobku naszej współczesnej satyry tylko dorobkiem „Szpilek". Trzeba uwzględnić również działy satyryczne takich czasopism, jak „Chłopska droga", „Gazeta Krakowska" czy „Wieś". Żywsze są karykatury i rysunki „Chłopskiej Drogi", „Gazety Krakowskiej" czy małe rysuneczki „Gazetki gminnej" „Wsi". Karykatury w „Szpilkach" nie są tak popularne nie dlatego, że są za trudne dla chłopów — jak to niektórzy chcą nam wmawiać — ale dlatego, że są „drewniane", często bez poważniejszej treści, o dość wąskiej tematyce, bez ścisłego związku z terenem, bez wnikliwości w obserwowaniu wciąż zmieniającej się taktyki wroga. Nie umieją walczyć skutecznie z niechlujstwem nierobów czy biurokratów.

Weźmy dla przykładu obrazy spekulantów w karykaturze „Szpilek". Grzeszą one barazo często błędem nazywanym „schematyzmem". Spekulant w tych rysunkach, to przeważnie grubas z workiem pieniędzy, obładowany towarami, z sępimi szponami palców, z odrażającą twarzą.

A przecież taki spekulant, to już dziś rekwizyt. Zmienił się on stosownie do potrzeb w łagodną owieczkę, cierpiącą „ofiarę reżimu", ciągle narzeka na biedę i ciężkie czasy, chodzi do kościoła, po prostu „aniołek" starający się o „pomoc" dla biedaka, „aniołek" z niewinną twarzą „świątobliwego męczennika".

I to nie wszystko! To dopiero jedna strona „twarzy" współczesnego spekulanta — ta dla „pospólstwa". Druga strona jest dla władzy: to „postępowość", deklaratywne zapewnienia, hurra - patriotyzm — oczywiście tylko w „cztery oczy" z przedstawicielami władzy.

Dziesiątki takich spekulantów można by po nazwisku „wyrywać" z terenu. W jednej z gromad na przykład wiele zamętu narobiła wieść, że bibliotekarz gminny — i w jednej osobie organista — został przodującym bibliotekarzem i to w skali centralnej! A przecież książek on nie popularyzował — ba, odwrotnie! Jego jedyną pracą były sprawozdania z akcji upowszechniania książki, z przeprowadzonych konkursów dobrego czytania — sprawozdania „lipne", w których prawdy nie było za grosz. Poza tym jako „przodujący korespondent" wysyłał notatki do prasy „demaskujące" sekretarza K. G. Partii czy prezesa GS, czy innych, a rzetelnych aktywistów.

Władze zwierzchnie, do czasu wprowadzane w błąd, widziały — aktywistę, chłopstwo pracujące — wyzyskiwacza. Dopiero w czasie zakładania spółdzielni produkcyjnej jego spekulanckie „nerwy" nie wytrzymały — poszedł do chłopa średniaka i zaklinał go w imię boże, by nie „sprzedawał gromady diabłu".

Ów średniak jest dziś przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej, a „przodujący" bibliotekarz jest już tylko ...organistą.

Jak uchwycić w satyrze takiego wroga? Jak pokazać go w karykaturze? Trzeba dobrze zrozumieć i wczuć się w jego pozycję, trzeba pokazać go w niesfałszowany sposób (oczywiście można jego rolę podnieść do „potęgi") — a wtedy będzie nie tylko zdrowy humor, ale i wykryty i pokazany wróg klasowy.

A takie typy znajdziemy w każdej gromadzie. Pokazać je, zedrzeć z nich maskę „dobrotliwości" — to obowiązek naszej satyry i karykatury. Tej pomocy oczekuje pracujące chłopstwo.

Podobnie wygląda sprawa kułaka. Kułak w naszej satyrze i karykaturze (nie tylko „Szpilkowej") — to człowiek z dużym brzuchem i nalaną twarzą, gruboskórny, prostak, magazynuje wciąż produkty rolne, wyzyskuje biedotę i jest zawsze opornym dostawcą obowiązkowych dostaw. I oto znów fałszywy obraz dzisiejszego kułaka. Stara się on dziś być często „jagniątkiem", „opiekunem" biedoty, „wrażliwym" na kłopoty wsi pracującej, „bezinteresownie" pomagającym. Nie gruboskórny matoł, lecz giętki „poczciwiec", nie naiwny, lecz przebiegły, umiejący dzięki tysięcznym sposobom ukryć swój wyzysk.

Te sposoby satyryk musi widzieć — a chcąc je dojrzeć, trzeba znać dobrze stosunki na wsi. Kułak, to często „dobry wujaszek", nieraz wywiązujący się z obowiązkowych dostaw, lecz... wstrzymujący dostawy innych. I takiego żywego kułaka trzeba widzieć i pokazać.

Dobrze i prawdziwie pokazują go reportaże satyryczne we „Wsi". Świetne są na przykład reportaże Drygasa i Chęcińskiego, Słupeckiego i Zaleyskiego — jest w nich i zdrowy humor i prawdziwe zrozumienie spraw wsi. Tylko takie ścisłe powiązanie z terenem, tylko rzetelna a nie powierzchowna znajomość zagadnień wiejskich może dać satyrze mocne oparcie, może pokazać życiową, nie wymyśloną przy biurkach tematykę. Pismo takie jak „Wieś" może dać i daje satyrze ten kontakt z terenem, ponieważ satyra opiera się tu na konkretnym materiale z terenu. W ten sposób nie tylko pokazuje prawdziwie główne sprawy w walce o nową, socjalistyczną wieś, ale również wpływa bezpośrednio na rozwiązanie takich a takich spraw w takich a takich gromadach.

Dlatego to żaden z tych reportaży nie jest oderwany od tysięcznych spraw wsi i jej najważniejszych problemów.

Również w „Gazecie Krakowskiej" w rubryce satyrycznej „Zastrzyki" na podstawie korespondencji z terenu wymienia się po imieniu i pokazuje przejawy wrogiej roboty, nieróbstwa itp. „Zastrzyki" pomagają nie tylko wsi z terenu, z którego korespondenci pochodzą, ale i innym wioskom, które w zwierciadle tej satyry widzą swoje troski, pomagają i tym, którzy w satyrze opisującej inną osobę widzą swoje wady. To samo zadanie spełnia „Gazetka gminna" „Wsi".

Na zakończenie trzeba powiedzieć: „Szpilki" powinny przyswajać metody wypracowane przez pisma centralne i prowincjonalne, uczyć się bardziej bezpośredniego kontaktu z terenem, starać się o bardziej bezpośrednie oddziaływanie na sytuację.

Po drugie — ściślejsze połączenie się i powiązanie naszej satyry z pierwszą linią walki za pośrednictwem korespondentów rozszerzy doświadczenia satyryków (o które niestety nasi pisarze - satyrycy nie zawsze się jeszcze troszczą!), doda satyrze bojowości i zdrowego humoru, uczyni z niej narzędzie walki szerokich mas.

Ludwik Maj

Motory rewolucji kulturalnej w gminie Łaznów

(Dokończenie ze str. 1)

Nauczycielstwo gminy Łaznów za słabo docenia rolę biblioteki gminnej, którą prowadzi działaczka oświatowa, średniorolna, Maria Kuchta. Organizowanie chodów z książką do czytelnika, dyskusje nad przeczytanymi dziełami, spotkania czytelników z autorem i wiele innych imprez, to pole dla wielkich akcji i przeżyć wychowawczych, które utrwalą i pogłębią świadomość chłopa i robotnika.

Nie docenia nauczycielstwo roli kina wiejskiego zarówno dla pogłębienia własnej świadomości jak i swych wychowanków i starszego pokolenia.

Trzeba, aby nauczyciele pomogli młodzieży tak w Łaznowie jak i w Popielawach ożywić działalność ludowych zespołów sportowych, które ledwo wegetują.

Trzeba, aby nauczyciele zrozumieli znaczenie radiofonii przewodowej i miejscowego radiowęzła w Ujeździe i Koluszkach. Posyłanie reportaży o pracy swej szkoły, o wyróżniających się uczniach wprowadzenie audycji, chórów, orkiestr, deklamacji zbliży wieś do szkoły, ożywi pracę kulturalno - oświatową w terenie.

Dziesiątki spraw i problemów nasuwa życie, wartkie życie Polski Ludowej kroczącej do socjalizmu. Kto jak kto, ale nauczyciel powinien czuć się odpowiedzialny za swój teren, za całokształt pracy politycznej i kulturalno - oświatowej a także gospodarczej. Aby temu sprostać, trzeba dać z siebie wiele pracy i to *zorganizowanej, planowej*. Trzeba nauczyć się posługiwać nowoczesnymi instrumentami i narzędziami pracy politycznej i oświatowo - kulturalnej, jakimi są: książka, prasa, radio, gazetka ścienna, kino, teatr itp. Nacierać należy na pozycje ciemnoty i zacofania przy pomocy nowoczesnej broni, jaką nam daje oświata i kultura Polski Ludowej.

Stanisław Krakowiak

Rocznice

EMERSON

ROCZNICE — mówi wielki pisarz amerykański Howard Fast — są może z natury już nudne. Ale jak bicie zegara uprzytomniają bieg czasów, a niekiedy wskazują na późną porę". Rocznice zatem to czas porównań i wspomnień, zastanowień i wniosków.

A mija właśnie lat 150 od przyjścia na świat jednego z wielkich w Ameryce. 25 maja 1803 r. w Bostonie urodził się Ralph Waldo Emerson. Pisarz i moralista, przede wszystkim zaś niestrudzony wychowawca, głosił wiarę w człowieka, w jego przyszłość, w potęgę jego woli, która przeobrazi życie na ziemi. Należał do pokolenia tak wspaniałych umysłów, jak Henry Thoreau i Horace Greeley, Bronson Alcott i Wendell Phillips, Frederick Douglass i Walt Whitmann. Należał do pokolenia, które raz po raz pchało naprzód oporną, ale ze szlachetnego kruszcu zrobioną, bryłę Ameryki.

Był utopistą, myśl jego szybowała wysoko nad chmurami. „Zaprzęgnij swój wózek do gwiazdy" — radził ludziom. My wiemy, że spełniają się niedościgłe nawet marzenia, wiemy, że wola ludzka potrafi dosięgnąć gwiazd. Urzeczywistni się wizja Emersona, wizja braterstwa i szczęścia, choć jego ojczyznę zasnuła dziś gęsta i czarna powłoka chmur.

W Nowym Jorku nie było w tym roku pierwszomajowych pochodów. Burżuazja nie mogła znieść widoku siły proletariatu. Obwarowała się murem zakazów, schroniła za plecy policjantów. Zmasowano ich trzydzieści tysięcy. Odbyło się jednak wielkie zebranie na Union Square. Przemawiali Paul Robeson i Howard Fast, pieśniarz i poeta.

Fakty te mają znamienną wymowę. Święto robotnicze zostało wzbronione w kraju, gdzie się zrodziło. A w pierwszym szeregu walczących proletariuszy stoi dziś przedstawiciel rasy uciśnionej i przedstawiciel postępowej myśli, wypartej z powierzchni życia, z jego zewnętrznych kształtów: z prasy i radia, filmu i bibliotek.

O prasie, radio i filmie mówiło się już sporo. Cały świat wie o monopolach prasowych, o Szekspirze w obrazkach, o niebosiężnej głupocie filmowych wersji Dickensa i Walter Scotta.

Przyczyny tego są proste, co nie pomniejsza ich grozy. Burżuazja amerykańska z całą świadomością zabija dobrą książkę. Do tego celu służy sposób wydawniczej produkcji i bezpośredni nacisk.

Andrzej Skiba

LUIS TARUC

MÓJ NARÓD BĘDZIE WOLNY

Fragment końcowy autobiografii Luis Taruca, naczelnego dowódcy Hukbalahap, sił zbrojnych filipińskiego ruchu wyzwoleńczego.

Oddział partyzanckich wojsk ludowych, w środku Luis Taruc, wódz ludu filipińskiego

Ostatnie karty tej książki piszę w małej bambusowej chatce na zboczu góry wznoszącej się ponad środkową równiną wyspy Luzon. Może trzeba będzie opuścić ją bardzo szybko, kto wie czy nie dziś jeszcze. Nieprzyjaciel jest bardzo blisko.

W chatce nie ma żadnego sprzętu ani stołka. Notatnik trzymam na kolanie. Strop jest tak niski, że nawet siedząc muszę pochylać głowę. Słońce przenika przez gałęzie w górze i bambusowy dach. W puszczy jest bardzo cicho. Słyszę jak nieco poniżej na zboczu pluszcze wśród skał mały strumyk, z którego czerpiemy wodę do picia. Tuko, krajowy ptak, odzywa się z gąszczu drzew. Świerszcze dzwonią bez przerwy, basowym rechotem odzywa się chór żab. Są to wszystko odgłosy pokoju. Złudne. W każdej bowiem chwili zagrać mogą armaty.

Pod drzewami, o dziesięć metrów stąd, są inne chatki chociaż ledwo je widać. Śpi w nich kompania żołnierzy Hukbalahap. Nie mają mundurów, są bosi i półnadzy. Nie wyglądają na wojsko, ale są wojskiem.

Tak wygląda ruchoma kwatera ludowej armii wyzwolenia.

Siedzę w tym szczupłym, pustym, pierwotnym ukryciu i kończę książkę o biegu mego życia. A każdej chwili może je przerwać strzał zbrojnych najmitów tyranii. O życiu piszę więc pośród śmierci. Ma to znaczenie, ponieważ chodzi nie tyle o własne moje życie, ile o życie ruchu, do którego należę i o sprawę ludu, której ten ruch służy. Tutaj nie śmierć jest doniosłym zdarzeniem, lecz narodziny, których przyczyną jest nasza walka.

Do napisania tej książki skłonili mnie towarzysze. „Napisz o sobie — mówili — dla ludu jesteś symbolem ruchu". Gdy jednak przeglądam jeszcze raz te kartę, widzę, że jest w nich znacznie mniej o mnie niż o samym ruchu. Tak być powinno. Ruch ludowy powstaje z życia wielu, wielu ludzi i wszystkie walki, o których pisałem, są tylko cząstką życia narodu jako całości. W swym sensie najistotniejszym książka ta nie jest autobiografią. Jest rozdziałem biografii ludu filipińskiego.

Nasza obecność wśród puszczy nie jest dziś zjawiskiem wyjątkowym, odosobnionym. To samo czynią żołnierze ruchów wyzwoleńczych w Indochinach i na Malajach, w Indonezji i Burmie i wszędzie tam, gdzie masy ludowe Azji są w ruchu. Te fakty są wszędzie i powstańcy są wszędzie, a wysoko nad nimi wznosi się fakt olbrzymi, że naród chiński wyłonił się ze swych gór i ze swych chatek w lasach i wkroczył do miast i miasteczek, które stały się jego własnością.

Na słupkach narożnych chatki wisi cały mój majątek: lekki wypchany plecak oraz karabin. Obydwa są niezamierzonym darem imperializmu amerykańskiego. Nikt wśród nas nie ma więcej. Ale jest jedna rzecz jeszcze jaką wszyscy mamy: miłość i bratnią przyjaźń jeden dla drugiego i dla tysięcy takich jak my w tysiącach takich chatek rozsianych po całym kraju; miłość i przyjaźń całego ludu, dla którego jesteśmy nadzieją przyszłości. Wystarczy to by w nieskończoność podtrzymać siły człowieka, jego ciała i jego ducha.

W ciągu ostatnich lat ośmiu siedem lat żyłem jak żyję dzisiaj, wśród lasów i trzęsawisk, ścigany i poszukiwany, z nagrodą 100 tysięcy pesos wyznaczoną za moją głowę. Ale nigdy nie czułem się „na zewnątrz". Przeciwnie, jesteśmy wewnątrz, tuż przy sercu narodu. Jesteśmy wewnątrz walki. Ktokolwiek do walki przyłącza się dzisiaj, kto wstępuje do ruchu ludowego, otrzymuje miejsce wewnątrz najbardziej rozstrzygających wydarzeń naszych czasów. Jest to rola dumna i godna zazdrości.

Nie żyjemy, oczywiście, normalnie. Życie powstańców jest nieraz bardzo dziwne. Żołnierze z chatek sąsiednich sypiają na przykład tylko w ciągu dnia — w nocy muszą być w akcji. Bardziej ich cieszy noc bezksiężycowa, niż południowe słońce. W dzień panuje ucisk, policja i strażnicy. Ale gdy noc zapada równina staje się wyzwolonym obszarem, gdzie lud z otwartymi ramionami przyjmuje naszych żołnierzy.

A wkrótce już, gdy wzejdzie słońce naszego zwycięstwa, dzień również będzie do nas należał.

Powstaniec też cieszy się, kiedy deszcz pada: wówczas okolicę pokrywa głębokie błoto, powstaniec jest bezpieczny. Czołgi, wozy pancerne i buty policjantów grzęzną w błocie i stają się na nic. A Huk może poruszać się swobodnie nawet w ciągu dnia. „Hukowa pogoda" mówimy, kiedy deszcz leje i możemy planować akcję.

Robimy także plany na przyjście dnia kiedy deszcz będzie oznaczał dla nas czas na sadzenie i sianie, będzie oznaczał nadzieję dobrych zbiorów.

Gdy głowę trochę przechylam, widzę poprzez drzewa sporą część Środkowego Luzonu. Równina kąpie się w słońcu, przecinają ją cienie chmur i widzę niewyraźnie wioski ukryte wśród drzew, opasane zewsząd przez pola ryżowe. Znam każdą wioskę, a jest ich wiele. Byłem tam wszędzie i znam wszystkich ludzi. Mogę wykreślić drogę mego życia od wioski do wioski, jak wróżbita odczytujący linie dłoni.

W okresie „amnestii" w 1948 r. oświadczyłem prasie, że jestem komunistą. Robotnicy i chłopi uznali to za słuszne, ale niektórzy ludzie wyrazili zdumienie i oburzenie. Wykrzykiwali, że obca ideologia opanowała ruch chłopski i wykonuje polecenia komunistów ze Związku Radzieckiego. Gdyby ktoś z tych ludzi był tutaj razem ze mną, mógłbym mu teraz pokazać dokładnie miejsca, gdzie nauczyłem się i przyjąłem logikę, prawdę i konieczność Komunistycznej Partii Filipin.

Pokazałbym im dokładnie miejsca, gdzie pracowałem w polu, miejsca, gdzie policjanci strzelali i zabijali strajkujących chłopów i miejsca, gdzie położone są największe majątki ziemskie. Mógłbym im wskazać każdą widoczną stąd wioskę i powiedzieć jak ludzie tam żyją, powiedzieć co posiadają, co umieją, czego się nauczyli i jakie są ich widoki szczęścia. Mógłbym wskazać wioski, skąd obszarnicy wyrzucili dzierżawców i gdzie teraz strzelają do nich policjanci. Mógłbym pokazać olbrzymie posiadłości armii amerykańskiej. I dowiódłbym wówczas, że ideologia, która polepszy życie ludzi obca jest nie ludowi, lecz obca jest tym, którzy rządzą i wyzyskują lud...

Iluż to ludzi w naszych dziejach żyło tak jak ja żyję teraz, w ukryciu i walcząc o wolność wśród naszych lasów i gór? Diego Silang, Juan de la Curuz Palaris, Apolinario de la Curuz, Francisco Mangio del Pilar i Malvar — cała nasza historia rozbrzmiewa imionami tych, którzy walczyli o wolność Filipin, o zwalenie tyranii. Ich walkę nieukończoną my doprowadzimy do końca.

Słońce zachodzi. Budzą się żołnierze kompanii. Muszę iść. Po wsiach ludzie czekają na nas.

Trzeba znów wziąć się do pracy — musi być wykonana.

Luis Taruc

GEORGE BIDWELL

Słoń w składzie porcelany

BURŻUAZYJNY tygodnik londyński „Economist" zamieścił ostatnio cykl artykułów pod wielce reklamowanym tytułem „Jeśli Ameryka trzaśnie..." Jest to jeden tylko, ale znamienny przejaw rosnącej trwogi, jaką w Europie Zachodniej budzi rozwój stosunków gospodarczych w USA.

Widoki w Stanach istotnie są niewesołe. Agencja „Associated Press" podała sprawozdanie z zebrania Związku Bankierów Amerykańskich, na którym wszyscy mówcy „ostrzegali by liczyć się z możliwością depresji". Amerykański Instytut Badawczy nakazał przedsiębiorcom przygotowanie się w tym roku na depresję, która może być głębsza i dłuższa niż wszelkie spadki i trudności od czasu wielkiego kryzysu". Znany ekonomista, prof. William Yale, pisał niedawno: „Polityka Zachodu podyktowana jest względami politycznymi i strategicznymi, nie zaś gospodarczymi i nakłada tak wielkie ciężary na kraje Zachodu, że musi z czasem przekreślić własne cele swych twórców". Profesor żali się, iż dławienie wymiany między Zachodem i Wschodem ogranicza eksport wyrobów gotowych oraz import surowców żywności i minerałów" wskutek czego przynosi więcej szkód Ameryce i jej satelitom niż krajom socjalistycznym. Wreszcie „US News", organ wielkich monopoli amerykańskich, stwierdza: „Przemysłowcy gromadzą długi. Pożyczki bankowe wzrosły trzykrotnie od r. 1945". Na łamach tegoż czasopisma jeden z byłych doradców ekonomicznych Trumana, Robert Turner przewiduje, że „okres próby" gospodarki amerykańskiej nadejdzie w połowie 1953 r. lub nie o wiele później. „Ekonomist" stawia kropkę nad „i": „Jeśli zamierzone cięcia w budżecie państwa zaczną mocno dotkwierać, inwestycje na budowę fabryk i sprzęt zaczną spadać, budownictwo w ogóle osłabnie, a przemysłowcy z przerażeniem zobaczą rosnące zapasy towarów w składach — jakże wielkie będzie niebezpieczeństwo, że depresja przemieni się w lawinę kryzysu zanim Ameryka zdąży się nawet obejrzeć".

Eksport towarów cywilnych spadł z 16 miliardów dolarów w pierwszym kwartale 1952 r. na 14 miliardów w drugim i 11 miliardów w trzecim. Na zjeździe Rady Handlu Zagranicznego jeden z przedstawicieli rządowych, Seymour Rubin oświadczył, że „jeśli tak dalej pójdzie, załamać się może nasz przemysł rolniczy, maszynowy i włókienniczy". Na tym samym zjeździe mówiono z niepokojem o konkurencji japońskiej i zachodnioniemieckiej. W wielu wypadkach eksport spadł z 20 proc. całości produkcji na 6 proc., i dalej spada.

Radziecka i chińska inicjatywa pokoju rzuciła byznesmanów i ekonomistów Zachodu w objęcia zupełnej paniki. „Manchester Guardian" mówił o „delikatnej równowadze ustroju kapitalistycznego, która opiera się na dźwigni zamówień gospodarczych" i wskazywał, że rokowania pokojowe „mogą stanowić cios gospodarczy dla świata zachodniego". Jeszcze wyraźniej pisał „Economist": „Na Wall Street już w końcu marca przeczuwano coś niedobrego. A potem nagle odżyły nadzieje pokoju na Korei i zastój na Wall Street zmienił się w ostry spadek kursów. Gwałtownie obniżyły się ceny ołowiu, cynku, cyny i kauczuku, a ceny innych artykułów również uległy wstrząsowi i załamaniu". Prasa amerykańska wyrażała się niemniej szczerze: „Giełda nowojorska przyjęła wiadomość (inicjatywę pokoju — G.B.) bardzo źle. Kursy spadły, szczególnie kursy akcji lotniczych".

Gdy byznesmeni załamują ramiona i wzywają Waszyngton na ratunek, farmer amerykański pozostawiony został samemu sobie. Trudności zaś ma niemałe. W roku 1951 — 1952 USA eksportowały 460 milionów buszli pszenicy. W tym roku, według ocen Departamentu Rolnictwa, eksport ten będzie niższy o conajmniej 1 proc. Rynki kapitalistyczne odczuwają trudności w sprzedaży tekstyliów, co odbija się na wywozie bawełny z Ameryki. Zdaniem prasy spadnie on z 6 milionów bali w roku ubiegłym na 4 miliony w 1953 r. „US News" wskazuje, że farmerzy bici są podwójnie: przez poważny spadek cen żywca, wełny i pszenicy oraz przez wzrost cen narzędzi rolniczych. Są to tak dobrze nam znane sprzed wojny osławione nożyce. W ciągu ostatnich paru lat pół miliona farmerów opuściło swe gospodarstwa, a długi pozostałych wzrosły dwukrotnie od 1945 r. i wynoszą obecnie 15 miliardów dolarów. Co prawda ceny detaliczne na żywność są wciąż „podniebne", jak mówi nowojorski „Time". Ale rolnik otrzymuje zaledwie 16 proc. z ceny detalicznej chleba, sadownik 5 proc. ceny jabłek i brzoskwiń, 5,5 proc. ceny pomarańcz. Farmer nie może się bronić, gdyż jest na łasce wielkich monopoli zakupu i dystrybucji.

Wszystkie te zjawiska powodują systematyczny spadek poziomu życia szarego obywatela w Ameryce. Długi krótkoterminowe konsumentów wzrosły od 1945 r. czterokrotnie i wynoszą blisko 24 miliardy dolarów, a długi hipoteczne, ciążące na właścicielach domków i mieszkań, wzrosły z 19 na 59 miliardów. To też bankierzy i ekonomiści głowią się nad tym co będzie, jeżeli bezrobocie jeszcze się powiększy, a tym samym zarobki jeszcze bardziej spadną. Gospodarka Ameryki znalazła się w błędnym kole: zbrojenia powodują wzrost podatków, te zaś zmniejszają zdolność nabywczą ludności.

Nie należy więc dziwić się, że „Economist" mówi malowniczo: „za Atlantykiem słoń*) chodzi na paluszkach po składzie pełnym porcelany. Musimy przygotować się na wielki trzask". A jako końcowy wniosek pismo stwierdza, że „depresja w Ameryce musi pociągnąć za sobą kryzys gospodarczy, który objąłby wkrótce cały świat". Rzecz jasna, świat kapitalistyczny. Kryzys amerykański z 1929 r. rzucił na bruk miliony bezrobotnych, wywołał niezliczone bankructwa, wstrząsnął gospodarką całego niemal globu. Państwa Europy Zachodniej odczuły go szczególnie boleśnie. Dziś na skutek reakcyjnej polityki, na skutek hamowania obrotów ze Wschodnią Europą i Chinami, W. Brytania i Europa Zachodnia bardziej niż kiedykolwiek związane są z Ameryką i od niej uzależnione. Tym większe przerażenie budzi „upiór gospodarczy lat 1950-tych", jak prasa angielska nazywa perspektywę coraz bardziej nieuchronnego kryzysu.

Ostatnio członek parlamentu,

przedstawiciel partii pracy Stanley Evans, zyskał sobie powszechny poklask mówiąc niedawno na licznym zebraniu: „Musimy ponieść wszelkie ofiary dla uwolnienia narodu brytyjskiego od zależności gospodarczej i finansowej od Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy zbyt wielkim narodem, aby grać rolę starej puszki od konserw przywiązanej do psiego ogona".

George Bidwell

*) Słoń jest tradycyjnym symbolem partii republikańskiej w USA.

CZU JUAN

PIĄTEGO dnia piątego księżyca, w czerwcu zeszłego roku, byłem w Nankinie. Wszystkie sklepiki i kramy były pozamykane: Nankin obchodził Święto Smoka, Tuan Jang. Zjedliśmy tradycyjne danie z liści bambusu faszerowanych ryżem. Na jeziorze zawody Łodzi Smoka przyciągały bezczynny nareszcie tłum. Stateczki te każdego lata przebiegają w tym samym dniu tę samą trasę, od roku 247 przed naszą erą. Wtedy, przed wiekami, rybacy nie myśleli o zabawie: poszukiwali ciała, które spoczęło na dnie jeziora Tungting. Wielki Czu Juan utonął.

Czu Juan, mąż stanu i człowiek pióra, pisał poematy i szkice filozoficzne. „Czy zawsze mam mówić szczerze i bez obsłonek — pytał — lekceważąc niebezpieczeństwa na jakie to mnie może narazić, czy też mam się stosować do powszechnego zwyczaju, wielbić bogatych i możnych i w ten sposób zapewnić sobie przyjemną egzystencję? Czy pozostać prawym i nieprzedajnym, czy też stać się śliskim jak połeć słoniny, giętkim jak rzemień i przystosowywać się do każdych okoliczności? Czy mam wznosić się i opadać na falach, by sobie zabezpieczyć życie?" I Czu Juan odpowiedział: „Nie":

Czu Juan umarł 2.200 lat temu. Jest jeszcze wciąż bardzo żywy. Raz do roku zatrzymuje życie całych Chin. Za Kuomintangu lud chiński myślał: „Ach, gdybyż wśród tych co nami rządzą był człowiek taki jak Czu Juan!" Dziś naród chiński wie, iż rządzą nim ludzie podobni do mężów stanu wzorowuch, których postacie malował Czu Juan w poemacie Wielkie Napomnienie, przeciwstawiając ich despotom i dworakom, jacy pchnęli go do samobójstwa. Wyzwolony naród chiński wie, że na jego czele stoją ludzie, którzy

Wzywają mędrców, by zasiedli
w radzie,
Przy ich pomocy wykryć chcą
tajemne
Smutki, niedole i troski
prostaczków,
Chcą wspomóc biednych.

Dziś spełniły się wreszcie nadzieje poety i ministra. Nadszedł dzień, gdy w całych Chinach

Krząta się w polu, wiosce i na
drodze
Mrowie szczęśliwych ludzi.

Łódź Radosnego Smoka zawinęła do portu.

Claude Roy

SADRIDDIN AJNI

(Dokończenie ze str. 2)

przeklęci przez Boga. I radzę ci nie wspominać ich tak często". Czyżby obrazek ten wzięty został z czasów średniowiecza — nie — to lekcja, która miała miejsce w ostatnim dziesiątku XIX w. w najlepszej wyższej bucharskiej szkole duchownej, medresie Mir-Arab.

Bardzo ważnym dopełnieniem obrazu ówczesnej Buchary są obserwacje egzekucji pod pałacem emira, zwłaszcza jeśli się zna historię przestępstw skazańców. Naprzykład pewnego nędzarza stracono zamiast poganiacza osłów Nasima, za którego złożono okup. Zresztą owego Nasima skazano na śmierć za to, że w jego kukurydzy bandyci zabili człowieka. Zabójców nie schwytano, a kodeks mahometański, Szarjat, obciąża w takich wypadkach winą właściciela ziemi na której dokonano zbrodni.

Na całym jego obszarze bowiem wyzyskiwano chłopów, wszędzie religia przydawała godności możnym oszustom, przekupstwo ciemnota, tyrania emira i bezsens praw szarjatu rozciągał się po całym kraju.

Krytyka radziecka zarzuciła Ajniemu, że w swej książce nie uwzględnił buntów mas ludowych przeciw uciskowi. Ajni rzeczywiście sprawę tę pominął, ale nie znaczy to naturalnie aby jego obraz Buchary był narysowany jedynie ciemnymi barwami. W średniowiecznej nikczemności przeszłego życia pisarz doskonale umiał dojrzeć i przedstawić prawdziwych ludzi ,takich jak jego ojciec, jak rozmiłowany w swej pracy, uzdolniony stolarz Usto-Chodża, jak służący każdemu swą pomocą Machmud-Byk. Można by wymienić cały szereg przedstawicieli ludu, których zatruta atmosfera Buchary nie pozbawiła ludzkich uczuć.

Utwory literackie Ajniego są ogromnie cenne jako dokument minionych i nowych czasów. Dokument, który pozwala nam poznać nie tylko fakty, ale także i ludzi. Spośród ukazanych przez siebie przedstawicieli różnych klas, najwięcej troski poświęcił pisarz człowiekowi pracy. Twórczość Ajniego jest narodowym pomnikiem cierpień, walki i zwycięstwa ludu tadżyckiego.

Janina Bahr

Kronika radziecka

PISARZ W KOŁCHOZIE

Przed klubem wiszą ręcznie zrobione afisze. Przybija się witrynę z fotografią pisarza, z recenzjami jego dzieł. Bibliotekarka przygotowuje książki. Nauczyciel rosyjskiego opiekuje się gromadką recytatorów, którzy uzupełnią wieczór autorski, oczekiwany z zainteresowaniem przez cały kołchoz.

Wieczór autorski w kołchozie... Ta forma spotkań z czytelnikami i popularyzacji literatury wśród mas pracujących Związku Radzieckiego jest dziś powszechna. Ale udział pisarza w życiu kołchozowym nie może sprowadzać się do jednorazowej wycieczki na wieś.

Pisarz to aktywny uczestnik życia kołchozowego, który ukazuje w swej twórczości zarówno osiągnięcia jak braki.

Warto przypatrzeć się doświadczeniom radzieckim, gdyż i u nas dojrzewa koncepcja stałej pomocy literackiej dla spółdzielni produkcyjnych. I tak np. Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi zaproponował łódzkim pisarzom objęcie patronatu nad niektórymi spółdzielniami produkcyjnymi w województwie. Pierwsza styczność — poprzez świetlice, poprzez życie kulturalno-oświatowe. Ale oczywiście na tym pisarz nie może poprzestać: jego wzrok i pióro sięgną dalej i głębiej, w jądro konfliktów i walk wokół powstawania nowego.

W Związku Radzieckim zdarzył się fakt, że młody utalentowany pisarz W. Owieczkin opublikował dwa szkice dokumentalne „W pewnym kołchozie" oraz „Zwykłe dni kołchozu". W ślad za nim A. Złobin ogłosił szkic pt. „Miesiąc w piątym rejonie". Obaj ujęli wydarzenia typowe, sięgnęli do istoty konfliktów i aczkolwiek prawdziwym bohaterom pozmieniali nazwiska, to jednak sytuacja tak pasowała do niejednego kołchozu w Związku na obecnym etapie politycznym, że tu i ówdzie ludzie dopatrywali się w szkicach zobrazowania własnych stosunków. Do Zarządu Związku Literatów Radzieckich, do redakcyj pism napłynęły listy z aprobatą takiej właśnie pracy pisarskiej i z prośbą o częstsze kierowanie pisarzy do kołchozów. Owieczkin i Złobin zdobyli uznanie czytelników dzięki umiejętności zarysowania typowych konfliktów, dzięki pokazaniu prawdziwych, żywych i typowych postaci, dzięki odważnemu przedstawieniu walki nowego ze starym.

Obaj pisarze ukazują na tle opisywanych kołchozów postacie na pierwszy rzut oka bezspornie pozytywne.

Oto kierownik rejonu, Paweł Rubcow, ze szkicu A. Złobina „Miesiąc w piątym rejonie".

„Nowy zwierzchnik — czytamy u Złobina — od razu, jak to się mówi, pędem, obszedł wszystkie służbowe gabinety oraz wydziały i powyciągał wszystkich urzędników, których zastał przy telefonach. Takich nabrał trzynastu. Z miejsca w korytarzu wygłosił krótką, lecz ostrą mowę, której sens sprowadzał się do tego, że telefonicznie kanału nikt nie wykopie, i kazał wszystkim udać się w teren".

— „Czego stoisz? — zapytał Rubcow brygadiera ekskawatorskiej grupy, Zawadę. Ten odpowiedział, że zniszczyły mu się jakieś potrzebne części w maszynie. — „Jak długo stoisz? — Trzy godziny". Rubcow siadł do auta i pojechał do magazynu. Oczywiście, jakby na złość magazyniera nie było. Wtedy Rubcow kazał rozbić kłódkę, dostał potrzebne części i sam odwiózł je brygadierowi.

Stosunek do nowatorów? Rubcow rozumuje: „...Zaczęli najeżdżać różni konstruktorzy, technolodzy, zaczną eksperymentować: wymieniać detale maszyn, próbować tego czy innego smaru. A ja przywykłem mieć do czynienia z maszynami pewnymi, skontrolowanymi".

Rubcow bez ogródek wykłada zasadę swego postępowania: „Przysłano mnie tutaj, żebym wyciągnął rejon i ja to zrobię, chociaż ktoś może być niezadowolony. Mnie to nie powstrzyma. Ja nie należę do ludzi lękliwych. Mnie obowiązuje tylko jedno prawo — „wykonanie państwowego planu".

Tu jesteśmy u sedna rzeczy. Rozgłos szkiców Owieczkina i Złobina tłumaczy się tym, że udało im się zasygnalizować niebezpieczeństwo rygorystycznego, bezdusznego wykonywania planów. Rubcow zapomniał o głębokich, mądrych słowach Stalina, wypowiedzianych w Pałacu Kremlowskim 4 maja 1935 r. na uroczystości promowania Akademików Armii Czerwonej: „Trzeba nareszcie zrozumieć, że ze wszystkich istniejących na świecie cennych kapitałów najcenniejszym i najbardziej decydującym kapitałem są ludzie, kadry".

Bohater szkicu Złobina widzi ważne państwowe zadanie, widzi plan, a nie dostrzega ludzi, którzy ten plan wykonują, wychowując się w toku kolektywnej pracy, w pokonywaniu trudności.

Podany przykład jest bardzo znamienny. Uczy, jak należy patrzeć na produkcję kołchozową, na wykonanie planu. Pisarz nie daje się uwieźć efektom cyfr, szuka za nimi człowieka. Wniosek: w centrum zainteresowania literata przyjeżdżającego do kołchozu powinien być człowiek i jego przemiany, a nie tylko zewnętrzny obraz osiągnięć produkcyjnych.

Jest to i wskazanie dla nas i przestroga. Nasza młoda proza reportażowa otrzymuje z rąk radzieckich sąsiadów cenne doświadczenie: opisując spółdzielnię produkcyjną pamiętać należy zawsze o jej twórcach — ludziach.

O zadaniach pisarskich w kołchozach pisze szerzej „Litieraturnaja gazieta" z 5 maja br. Ustala środki, którymi winien posłużyć się pisarz-obserwator: za najcelniejszy uważa szkic dokumentalny.

Jakie są cechy tego politycznie ważkiego gatunku literackiego?

„Zadanie szkicu dokumentalnego — pisze „Litieraturnaja gazieta" — polega na tym, żeby zapoznać cały naród z ludźmi godnymi uwagi. Szkic wypełnia to zadanie nie powierzchownie i nie po kronikarsku, nie jest notą informacyjną ani rozprawą technologiczną, nie popularyzuje doświadczeń nowatorskich na modłę broszur o stachanowcach. Szkic w sposób wybitnie artystyczny, głęboko filozoficzny łączy swój temat z całą współczesnością kraju, nawet z jej historią. Te zadania określają cechy formy: autor powinien dać jak najwięcej wiadomości o życiu bohatera, scharakteryzować go możliwie najpełniej, podać warunki życia i pracy, które tworzą wokół czołowej postaci potrzebną emocjonalną atmosferę. Te i inne cechy zbliżają (zachowując różnice) szkic dokumentalny do powieści. Siła tego gatunku literackiego to siła życiowego faktu, który staje się osobistym przykładem dla milionów ludzi w Związku i zagranicą".

Te doświadczenia i wskazówki radzieckie mogą być bardzo wartościową pomocą dla naszych pisarzy.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

rys. B. Butenko

TADEUSZ SŁUPECKI

Kapral Bąbelek robi rewolucję

KIEDY Kajetan Bąbelek został referentem kulturalno - oświatowym GRN w Szydłowicach, sytuacja kulturalna gminy zdradzała nie mało podobieństw do tej, w jakiej po biblijnym potopie znalazło się podobno wszelkie życie na ziemi: tyle było tego, ile w arce Noego. Z tą, oczywiście, różnicą, że rolę szydłowickiej arki spełniała skromna biblioteka gminna, oraz że gdy kulę ziemską w ciągu siedmiu (jak twierdzi biblia) tysięcy stuleci nawiedził jedynie jeden jedyny potop, to Szydłowice przez siedem zaledwie lat musiały przetrzymać takich referentów aż piętnastu!

Pierwszym był przedwojenny rzeźnik z sąsiedniego miasteczka, którego jednak już w czasie drugiej podróży służbowej przyłapano z transportem świń o dość niejasnym pochodzeniu i przeznaczeniu, jeśli nie uwzględnić tłumaczenia, jakoby odbywały one z rzeźnikiem dobrowolną wycieczkę dokształcającą po gminie. Zastąpił go były handlarz medalików, emerytowany stolarz, szewc i wreszcie buchalter miejscowej GS ,który wprawdzie zajmował się miejscową kulturą jedynie w godzinach nadliczbowych, ale mimo to zdołał zaprowadzić tam pożyteczną zasadę równomiernego rozdziału dóbr kulturalnych, polegającą na przydzielaniu pierwszego tomu wielotomowej powieści bibliotece gminnej, a dalszych — gromadzkim punktom bibliotecznym, co w czytelnikach biegających za dalszymi tomami wyrabiało fizyczną krzepę, zalecaną przez lekarzy nawet najbardziej zasuszonym molom książkowym.

Po buchalterze zjawił się dziadek Klita, emerytowany kierownik urzędu pocztowego, od lat 30 mozolący się nad epokowym dziełem pt. „Skalista Nemezis Szydłowic, czyli o pochodzeniu tutejszych kamiennych kamieni". Ta licząca blisko 900 stron maszynopisu rozprawa kończyła się niezwykle śmiałą hipotezą naukową, jakoby szydłowickie kamienie „brały się podczas orki z ziemi, na której potem leżą, a nie gniją". Jednak ku zdziwieniu radnych gminy nawet temu uczonemu mężowi nie udało się dokonać rewolucji kulturalnej w Szydłowicach, choć Rada nakazała odbić jego dzieło na gminnym powielaczu i papierze i rozesłała je wszystkim punktom bibliotecznym w ilości po 100 egzemplarzy na gromadę.

Listę referentów kulturalnych zamykało miluchne stworzonko w spódnicy, które od swych poprzedników różniło się jednak kształtniejszą figurką i imieniem Celina. To też rychło zaczęto sobie winszować tego wyboru, ponieważ ilekroć wybrano ją do prezydium jakiejś akademii, tylekroć spostrzegano, że nawet najbardziej od książki i gminnych uroczystości stroniący chłopi ściągali hurmą i w uroczystym milczeniu gapili się na jej gładką buźkę i foremny biuścik, co pozwalało żywić nadzieję, że z czasem będą się schodzić podobnie i dla samej kultury. Niestety, GRN nie zdołała się przekonać o słuszności tej hipotezy, bo piękna Celina zapragnęła wkrótce swe kulturalne kwalifikacje ofiarować wyłącznie pewnemu traktorzyście z sąsiedniego powiatu, gdzie się też po ślubie przeniosła, ku niemałemu strapieniu miejscowych kawalerczaków, wielce oburzonych na tak bezceremonialny zamach na miejscową kulturę.

Kto wie, czy po tylu doświadczeniach szydłowicka Rada zdecydowałaby się na dalsze, gdyby nie Dni Oświaty, Książki i Prasy, gdyby nie twarda postawa władz powiatowych, które upierały się bez przerwy, że bez podniesienia świadomości i kultury chłopa nie można na wsi liczyć na masowy rozwój spółdzielń produkcyjnych i socjalizmu...

— Ano, jak nie można, to trzeba... — zdecydował nie bez wewnętrznego oporu przewodniczący Rady. — A skoro powiadają, żeśmy są u nas zapóźnieni z tą rewolucją kulturalną, to my im tu przez te dni kultury taką rewolucję wyszykujemy, że nawet w Warszawie na tyłkach, za przeproszeniem, z zawiści zzieleniejĄ. Tylko trza nam do tego chłopa z nielada fasonem.

Po wielu debatach wybór padł właśnie na Kajetana Bąbelka. Był bowiem jednym z nielicznych w gminie, których od książki nie odstraszyło nawet owych 15 referentów kulturalnych. Ponadto miał on poza sobą służbę wojskową jeszcze sprzed czasów wojny z Hitlerem, z której wrócił w randze kaprala oraz z niemałymi skłonnościami do zaprowadzania wojskowego, jak mówił, „drylu", co jednak dotąd mógł czynić jedynie na swym podwórku, gdzie podobno nawet krowy przy udoju stawały przed nim na baczność. Ta cecha charakteru była jednak, zdaniem radnych gminnych, w tej ważnej dla gminy chwili raczej zaletą, która swe owoce zaczęła wydawać już nazajutrz po mianowaniu Bąbelka szesnastym z kolei referentem kulturalnym Szydłowic.

Jeszcze wieść o tym wydarzeniu nie dotarła do wszystkich gromad a już pojawiły się w nich następujące ogłoszenia:

„ROZKAZ MOBILIZACYJNY Nr 1.

Podaje się do wiadomości, że z dniem dzisiejszym na terenie gminy Szydłowice wprowadza się powszechną mobilizację czyli książkoczytanie czyli rewolucję kulturalną, której to atoli podlegają wszyscy obywatele bez różnicy, czy to mąż, czy żona, czy nieletnie dziecię płci obojga, jeżeli zostali zrodzeni ślubnie, nieślubnie albo w inny sposób w latach 1888 aż do 1945 włącznie. Zgłaszać się wg. kolejności dużych liter alfabetu w następujących terminach i punktach bibliotecznych...

Podpisano: SZEF REWOLUCJI KULTURALNEJ w Szydłowicach (—) Kajetan Bąbelek, kpr. rezerwy.

Choć znalazło się w gminie sporo śmiałków próbujących kpić ze wspomnianego ogłoszenia, rychło przekonali się, że to nie dawne kulturalne bezhołowie! Stworzona przez Bąbelka ochotnicza milicja kulturalna, wyposażona przez GRN w specjalne opaski na rękawach, doprowadzała opornych na punkty biblioteczne siłą. To poskutkowało i nawet ledwo co na oczy widzące babiny zamiast klepać różańce — zaczęły głośno dukać całe rozdziały „Biegu do Fragala", a oseski, choć nie objęte rewolucją kulturalną, w chwilach wolnych od snu, ssania i innych czynności naturalnych same rwały się do czytania naszych współczesnych powieści o krajowej tematyce wiejskiej twierdząc przy tym zgodnie, że wszelkie zarzuty krytyków literackich są niesłuszne, skoro autorzy tych powieści w pełni potrafią zaspokajać potrzeby czytelnicze nawet u trzymiesięcznych niemowląt.

A Bąbelek niezmordowanie działał dalej. Specjalnymi obwieszczeniami powiadamiał chłopów co i kiedy mają czytać, wyznaczał terminy dyskusji i dyskutantów, ulepszał w gminie organizację czytelnictwa przez dostosowanie jej do „specyficznych zainteresowań i potrzeb każdej gromady". A ponieważ, jego zdaniem, nazwa każdej wsi najlepiej świadczyła o historycznie ukształtowanych potrzebach jej mieszkańców, więc Włoskowicom przydzielał „Pamiętniki Fryzjera", broszury o pielęgnacji włosów i podręczniki fachowe dla fryzjerów, Stawidłom — choć stawów nie miały — wyłącznie książki o hodowli rybnej i Łacisa „Syna rybaka", a Papierzycom — „Pamiątkę z Celulozy" opisy usprawnień przy wyrobie papieru toaletowego i broszury o matactwach Watykanu, ponieważ nie był pewien, czy nazwa „Papierzyce" pochodzi od słowa „papier" czy „papież". A niechby ktoś spróbował nie przeczytać wyznaczonej mu książki!

— Dlaczegoście to nie przeczytali o metodach szybkościowego spawania wieżowców? — zapytywał wtedy niby spokojnie, ale tak jakoś, że pytanemu zasychało w gardle.

— A bo... A bo... — jąkał tamten, nie śmiejąc powiedzieć, że diabła tam obchodzą go jakieś wieżowce, natomiast ciekawy jest radzieckich metod wychowu cieląt.

— Co za „abo"? Będziecie wy, skurczybyki, czytać, czy nie? Wam się wymigać łatwo, bo łeb was nie boli, czym to się gmina po tym tygodniu kultury przed powiatem wykaże! Ale ja mam z wami robić rewolucję kulturalną!

I chłopina, ciekawy radzieckiego wychowu cieląt, zasiadał potulnie nad książką o szybkościowych metodach spawania wieżowców, podczas gdy Bąbelek wymyślał coraz to nowe ulepszenia, wzory do nich czerpiąc z czasów swej przedwojennej służby w wojsku. Wprowadził nawet w gminie nocne alarmy, na których sprawdzał, jak mówił, „stan kulturalnego pogotowia chłopów".

— A kto to powiedział i kiedy: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy"? — zapytywał znienacka, stojąc w pełnej gali przed frontem wyciągniętych w dwuszeregu chłopów i bab.

— Ano, widzi mi się, że chyba ten Słowacki co z lilią Wenedą wojował...

— A to:

„Choćbyś chłopie Krezusem był,
co odzian w marmury,
To szczęścia zaznasz jedynie
w ramionach kultury...

Druga „ofiara", widać lepiej przygotowana albo mniej zaspana, odpowiadała z przymilnym uśmiechem:

— To początek dwudziestej księgi poematu obywatela Kajetana Bąbelka, napisanego przez niego na cześć tygodnia kultury i sztuki...

*

POSŁOWIE. Aby nie było wątpliwości co do intencji tego felietonu, autor dedykuje go tym radom narodowym, które sprawy kultury traktują jeszcze jako „coś, co się robi, gdy już nie ma nic innego do roboty" oraz tym, którzy socjalistyczną kulturę na wsi chcą szerzyć nie metodą uczenia, lecz tępego dekretowania.

Tadeusz Słupecki

TADEUSZ TOMKIEWICZ

Jeszcze nie biją?

W Gibach, pow. suwalski, jeszcze przed dwoma laty działał Ludowy Zespół Pieśni i Tańca. Zdobył nawet pierwsze miejsce w województwie na Festiwalu Ludowych Zespołów Artystycznych w Białymstoku. Znany więc w Białymstoku, w Ełku, w Warszawie, tylko nieznany i niedoceniony pozostał w Suwałkach. Po pierwszych bowiem osiągnięciach, gdy kilku zdolnych ludzi odeszło z zespołu, nie Suwałki zatroszczyły się by zasilić go nowymi ludźmi. Komendant gminny „SP", dawny opiekun zespołu, cały sprzęt muzyczny rozpożyczył swoim znajomym. Harmonia i adapter, które otrzymał zespół jako nagrodę, poszły w ręce prywatnych muzyków. Zespół rozleciał się. W Zarządzie Gminnym ZMP i w Gminnej Radzie Narodowej odpowiadają wzruszeniem ramion:

— Albo my tylko zespół mamy na głowie...

*

Gminna Biblioteka Publiczna w Krasnympolu (również powiat suwalski) posiada około 2.500 tomów, ale nikt ich już nie czyta. Bo... Powiatowa Biblioteka w Suwałkach od roku nie zmieniła ani jednej książki w księgozbiorze. Bo... od dwóch lat stale zmieniają się bibliotekarze, a zawsze przychodzą tacy, którzy nie mają innej pracy, więc czepiają się biblioteki. Ojcowie gminy pomogli koleżance Gębali w ukończeniu szkoły handlowej po czym beztrosko „wsadzili" ją do biblioteki. „Więźnia stanu" odwiedzają dzieci z miejscowej szkoły, którym książki potrzebne są jako obowiązkowa lektura szkolna, a ze wsi 5 zarejestrowanych czytelników. Ojcowie gminy zarządzili więc, aby księgozbiór przenieść do mieszkania bibliotekarki, a lokal biblioteki przeznaczyć na inne cele.

*

W gminie Szczebro-Olszanka, pow. augustowski, istnieje 6 świetlic gromadzkich. Istnieje — na cierpliwym papierze. Zajrzałem do jednej z nich, w Józefowie.

— Świetlica? — pyta zdziwiony gospodarz — coś tu takiego miało być. Przed rokiem podpisałem kontrakt na wynajęcie mieszkania. Potem przywieźli 2 stoły, 3 krzesła, kilka książek i kupę pism. Leży to już od roku. Pan może w sprawie odnowienia kontraktu, bardzo chętnie...

Ruszyłem w drugi kraniec tejże gminy, do Dolnego Lasu. Miała tu być „wzorowa świetlica". Zorganizował ją Związek Zawodowy Przemysłu Drzewnego. Mieściła się w prywatnym domu. Początkowo za lokal płacił związek. Później oświadczył: Kto korzysta ze świetlicy (bo dla związku potrzebna była tylko raz do roku), niech ten płaci za lokal. Koło ZMP przez pewien czas załatwiało sprawy finansowe. Potem zabrakło funduszów, a stoły, krzesła i szafki poroznosili ludzie cichaczem po swoich domach. Wreszcie gospodarz domu wyrzucił resztki sprzętu, zerwał szyld i zamknął lokal na przysłowiowe trzy spusty. W spisach figuruje: świetlica. W praktyce w obu wypadkach nie pozostało po niej żadnego znaku.

Na 6 świetlic w tej gminie jedna jest tylko czynna. Odwiedza ją od czasu do czasu kino, czasem miejscowy zespół artystyczny urządza jakieś imprezy.

*

Tyle mówią fakty.

Komentarza do nich udzielił mi przewodniczący GRN w Bełdzie (pow. grajewski):

— Świetlice? O, to sprawa inna. Powiedziałbym — trochę słabsza. Za to jeszcze nie biją...

— Właśnie. Ale dlaczego jeszcze nie biją?

Tadeusz Tomkiewicz

EDWARD POCHROŃ

Listonosze

Zjawisko spadku ilości prenumeratorów czasopism w miesiącach letnich było w ubiegłych latach faktem nagminnym i chorobliwym. Np. w 1952 r. w ciągu miesięcy czerwca, lipca i sierpnia nakład czasopism zmalał prawie o 600 tysięcy, a w samym tylko województwie krakowskim o 67.200 egzemplarzy.

LISTONOSZ z placówki Witonia, woj. łódzkiego, tow. Szczepański odpowiedział na apel Wiktora Saja taki zobowiązaniem: *„Ja nie dopuszczę do spadku ani jednej gazety w okresie letnim"* i wezwał do podobnego zobowiązania wszystkich listonoszy w Polsce.

Podobne zobowiązanie podjął listonosz wiejski ze Słomnik pow. Miechów, Józef Całek. Utrzyma on w miesiącach letnich ilość prenumeratorów z okresu wiosennego i systematycznie będzie podwyższał tę ilość. Oprócz tego Józef Całek ma w swoim rejonie 632 prenumeratorów i to w 100 proc. wielomiesięcznych.

Na wyróżnienie zasługuje też inny listonosz z miechowskiego, Jan Bubak z Michałowic: 615 zaprenumerowanych czasopism, tzn., że na 1,2 mieszkańca przypada 1 gazeta. Przystąpił on do współzawodnictwa długofalowego.

Drugą skuteczną i cenną formą pracy Służby Gazetowej jest walka o stuprocentową prenumeratę wielomiesięczną, bo tylko wtedy będzie można zapobiec rezygnowaniu przez chłopa z gazety w okresie np. żniw. Najlepsze wyniki pod tym względem osiągnął kontroler Władysław Spisak z obwodu Oświęcim, który zdobył 61 proc. prenumeraty wielomiesięcznej.

Trzecią — współpraca z organizacjami masowymi i radami narodowymi. A np. w Miechowie Zarząd Powiatowy ZMP nie tylko nie pomaga kolporterom, ale jeszcze utrudnia pracę. Bo czym wytłumaczyć fakt, że do tej jeszcze chwili nie rozliczył się z obwodowym kontrolerem tow. Lucjanem Własiewiczem z książek pobranych od niego na zeszłoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy. Zarząd Powiatowy ZSCh w Żywcu w ogóle nie wciąga aktywu gromadzkiego do walki o wzrost ilości czytelników. Zarząd Powiatowy ZSL w Tarnowie sam nie prenumeruje żadnych czasopism, więc jakże może on wpłynąć na podległe mu komórki?

Towarzysze Listonosze! Weźcie sobie za przykład kontrolera Antoniego Rybczyńskiego z Zakopanego, który wykonał u siebie miesięczny plan prenumeraty w kwietniu w 104,6 proc. Przykładem powinien być dla was tow. Jan Mrowiec, który mimo że ma ciężki teren w żywieckim, potrafił w 100 proc. wykonać plan miesięczny. Nawiązał współpracę z Powiatową Radą Czytelnictwa, która pomogła mu w przygotowaniach do Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Aktywiści ZMP, ZSCh i ZSL! Czas najwyższy, abyście zrozumieli w pełni, że prasa i książka, to potężny oręż w przebudowie naszego kraju. Bierzcie przykład z Zarządu Powiatowego ZSL w Myślenicach, który listonoszowi Józefowi Wołkowi pomógł zdobyć 400 prenumeratorów i rozpowszechnić 1500 egzemplarzy „Statutów spółdzielni produkcyjnych". Jest to powiat naszego korespondenta i działacza spółdzielczego Ludwika Maja.

Edward Pochoń

Gazetka gminna

Jeden — jedyny

Dajemy wam taką zagadkę do rozwiązania, czytajcie tylko wolno i uważnie. Na gromadę Złoty Potok, gm. Biedrzychowice, pow. Lubań, sypią się nieszczęścia jak z rogu obfitości. A co dziwniejsze, gromada na tak ciężkie przypadłości wcale nie zasługuje. Ludzie tu dobrzy z gruntu, pracowici, do państwa i postępu jak najlepiej usposobieni. Wyjąwszy jednego jedynego. I stąd te nieszczęścia.

Już Złoty Potok brał górę w terminowych dostawach mleka, już nawet niektórzy słyszeli gratulacje z powiatu i... nic z tego. Ten jeden, jedyny mleka nie odstawił. Podobnie z kartoflami przemysłowymi.

— No, ale ze zbożem to mu się już nie uda — myśleli chłopi. Gdzie tam! Udało mu się i jak jeszcze! Zawalił plan na całego. Tej wiosny Złoty Potok, gromada nieszczęsna, nie osiągnął przez „jednego jedynego" zwycięstwa we współzawodnictwie w siewach wiosennych. Komitet Założycielski także przez niego do spółdzielni doprowadzić nie może, gdyż nasz „jeden jedyny" ostentacyjnie sprzedał inwentarz żywy i oświadczył: „Tera mnie bierzta do kołchozu".

Cała zagadka polega na tym, aby zgadnąć, kto to jest ten „jeden jedyny"? No? Kułak, obałamucony średniak czy biedniak, pijak, spekulant?

Ponieważ jesteśmy pewni, że nie zgadniecie sami, uchylamy rąbka niezwykłej tajemnicy, to... sołtys gromady, ob. Skrzat Władysław. Aby jednak było sprawiedliwie, spróbujcie chociaż to odgadnąć, dlaczego, u Boga Ojca, jest on sołtysem? My w żaden sposób zgadnąć tego nie możemy.

Borzywój Mieczarz

Dziw natury

Czy może żyć i działać połowa człowieka? — z takim zapytaniem zwrócili się do nas chłopi z gromady Łosinka, powiat Bielsk Podlaski. Taka bowiem połówka pełni funkcję kierownika szkoły w ich gromadzie.

Ob. Karolka, tak się bowiem zwie ów kierownik, wygląda na oko zupełnie normalnie. Ma dwie nogi, prawą i lewą rękę, dwoje oczu i dobrze osadzoną głowę na karku. Nie w tym jednak rzecz, że jest jednak tylko połówką, a nie całym człowiekiem, świadczy nie jego wygląd lecz czyny. Chłopi przytaczają na to cały szereg dowodów.

Dla przykładu: pan kierownik postanowił wyremontować szkołę. W tym celu brał przymusowo od każdego dziecka pewną ilość lnu, razem wyszło coś ze 180 kg. Len — jak planowano — sprzedał, ale szkoła do dzisiejszego dnia nie wyremontowana, czyli — tylko połowa zamierzenia spełniona. Pan kierownik doszedł także do przekonania, że dzieci powinny słuchać radia. I znowu dzieło w połowie urwane. Dzieci pieniądze przyniosły, a kto nie — wędrował do domu, lecz radio wcale dzieciom szkolnym nie służy. Niedawno Karolka obmyślił, aby dla dożywiania dzieci postarać się o dwie beczki mleka w proszku i odpowiednią ilość tranu. Znowu ta sama historia. Pierwsza część chwalebnego zamiaru wypełniona na piątkę. Mleko i tran znalazły się na miejscu, ale dzieci niestety nie przytyły.

Ponieważ chodzą po okolicy słuchy, że kierownik sprzedał len na czarnym rynku, radio zamienił na motocykl, którym się po okolicy rozbija, a mleko i tran sprzedał za wełnę i konopie — chłopi zapytują, czy nie należało by jednak przyprawić ob. Karolce brakującą połowę człowieka? Po cóż Łosince taki dziw natury?

Nasza odpowiedź: przyprawić mu natychmiast to drugie oblicze kombinatora, choćby nawet bardzo bolało, od tego bowiem gromada ozdrowieje.

Jan Wichura

Koniec z zebraniami

Wiadomości, jakie otrzymaliśmy z Sierakowa, pow. Gostynin są tak zatrważające i nieprawdopodobne, że podajemy je na odpowiedzialność członka tamtejszego koła ZMP kol. Kurkowskiego. On to bowiem jest sprawcą wydarzeń o których za chwilę poinformujemy.

Otóż rzecz się miała tak: ponieważ o kole ZMP w Sierakowie nikt nie słyszał, nawet Zarząd Powiatowy także nie, postanowili młodzi dokonać czynu, który by ich imię rozsławił szeroko. I rzeczywiście, projekt zdobycia sławy, przyjęty na zebraniu, postawił wspomniany Kurkowski.

„Okupacja" remizy strażackiej — to miał być po kilku latach szarzyzny nowy, ożywczy etap pracy koła. Prawdę rzekłszy i tym razem członkowie specjalnie się nie napracowali. Chodziło tylko o to, aby do świetlicy, mieszczącej się w remizie, nie wpuścić sołtysa z chłopami na zebranie gromadzkie, ani strażaków. Tak się też stało.

Chcieli strażacy przedyskutować sposoby gaszenia ognia bez wody — drzwi zamknięte. Chcieli zaśpiewać — zwymyślano ich przez grube ściany. A kiedy nawet na ulubionych mandolinach ćwiczyć im nie pozwolono, Straż Pożarna w Sierakowie straciła rację istnienia, wzięła tedy i rozpadła się.

Chciał sołtys urządzić zebranie w sprawie podatków od bezdzietnych kawalerów — drzwi zaparte. I upiekło się kawalerom. Chciał postawić przed gromadą „zagadnienie sanitarno-porządkowe", cóż kiedy Kurkowski wyjechał wraz z kluczem do gminy dowiedzieć się, kiedy będzie odpust. Zebranie w sprawie akcji przeciwstonkowej zostało zerwane, gdyż po pierwszym punkcie porządku dziennego, zetempowcy rozpoczęli nieoficjalny wieczorek taneczny. Dźwięki fox-trotta wystraszyły jedną część zebranych, drugą osobiście, tęgo przy tym wymyślając, przepędził sam kol. Kurkowski.

Tak więc, dzięki kołu ZMP, w Sierakowie nie odbywa się żadne publiczne zebranie, jeżeli pominiemy owe nieoficjalne wieczorki. Słynne koło, wielka zasługa, nie ma co! **Piotr Pigwa**

Rodzinka

„Jak to miło jest i ładnie, gdy rodzinka żyje składnie" — gdzie jak gdzie, ale w Gminnej Spółdzielni w Opolu, pow. Włodawa to budujące przysłowie w żaden sposób sprawdzić się nie chciało. A przecież taka się tam szeroko rozgałęziona rodzinka osiedliła.

Przeczytajcie tylko: Kusik Franciszek — główny buchalter, jego brat Eugeniusz — członek Zarządu, Marczuk Józefa, siostra obu braci — magazynierka, jej mąż Józef — referent kontraktacji. Ponadto dobrano do kompletu dalszą rodzinę, żeby się przy głównej linii Kusików i Marczuków wyrobiła. To Panasiuk Stefan, wuj Marczuków — pomoc biurowa, oraz jego córka Maria — kontrolerka.

Początkowo — życie rodzinne, jak to się mówi, kwitło. W wielkiej harmonii i zgodnie, rower, ciepłe koce, wiele metrów lepszego materiału powędrowało do rodzinnych magazynów. Zachowywano wszakże poczucie hierarchii. Tradycja bowiem obowiązuje w rodzince. Pierwszy zawsze zabierał co się dało Franek Kusik, główny buchalter, ten sam, co to 7.000 złotych manca zamienił w 80 zł nadwyżki.

Na specjalną uwagę zasługuje polityka kadr rodzinki. Włączono do niej „z urzędu" prezesa GS Bazylego Korneluka, choć to właściwie nie krewny, rozpoczęto wychowywanie drugiego magazyniera — Lisieckiego. Chłopaka delegowano na stałe do gospody, gdzie pobierał próbki alkoholu. Urosło z tej ściśle naukowej działalności niemałe manco, ale Lisiecki z niezwykłym talentem umiał spowodować, że kierownicze gospody ob. Ostapskiej karę pół roku więzienia zamieniono na dalsze urzędowanie. Tak więc Lisiecki z miejsca okazał niezwykłe kwalifikacje i byłby niezawodnie wszedł do rodzinki, gdyby nie to, że wszyscy familianci przeoczyli pewien mały lecz istotny szczegół, to mianowicie, że w gminie żyją uczciwi chłopi. Oni to ułożyli nowe przysłowie: „Jak to źle jest i niełądnie, gdy rodzinka wszystko kradnie". I czekają aż się tego przysłowia o GS w Opolu nauczy dobrze na pamięć PZGS.

Jan Biegała

I. G. KAMIŃSKI

„TO WIEŚ — NIE MIASTO"...?

SZCZEPANKOWO w powiecie szamotulskim to duża wieś, zelektryfikowana, położona na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych, a więc bynajmniej nie deskami zabita. Jest na miejscu spółdzielnia produkcyjna, do której przystąpili repatrianci zza Buga i koloniści z gospodarstw poniemieckich, jest i pokaźna grupa zagród kułackich.

We wsi świetlica gminna powinna odegrać poważną rolę w okresie wzmożonej walki o wprowadzenie gospodarki zespołowej. Inaczej jednak zapatruje się na zadania świetlicy kierowniczka, Zofia Lembiczowa, która przez rok „władania" życiem kulturalnym Szczepankowa, położyła je... na obie łopatki. Przyczyny zupełnego zaniku aktywności życia kulturalno - oświatowego w Szczepankowie wyglądają w jej interpretacji tak:

— Robota nie idzie, zupełnie nie idzie. Ludzie do świetlicy nie zaglądają, proszę pana. Wieś nie miasto, człowiek przychodzi strudzony z pola, to myśli tylko, jakby się najeść i wyspać, nie życie świetlicowe mu w głowie Ja jestem kierowniczką d o p i e r o od sierpnia 1952, ale widzę, że ujechać nie można. Złożyłam rezygnację, dziwię się, że mnie nie zwalniają. Tu beznadziejna sprawa, najlepiej byłoby przenieść świetlicę do Ostroroga i koniec.

Fakt, że na początku ubiegłego roku pracował tu regionalny szamotulski zespół pieśni i tańca, dwukrotnie nagrodzony na ogólnopolskim festiwalu w Warszawie — w oczach kierowniczki nie posiada dostatecznej wymowy.

— Zespół? Był, owszem. Dwie dziewczynki wyszły za mąż, dwóch chłopców poszło do wojska i rozpadł się.

— A reszta? Co z pozostałymi dwudziestu członkami zespołu?

— Zwyczajnie, woda sodowa im do głowy uderzyła. Do Berlina i Moskwy to by jeździli, ale w powiecie występować? Nigdy!

— Może pracuje zespół czytelniczy?

— Widać od razu, że pan z miasta. Kto na wsi o tej porze książki czyta? Zimą to jeszcze, ale teraz? Zespół był, ale się rozpadł.

— Orkiestrę mieliście przecież.

— Rozpadła się. Życie kulturalne nie ma u nas gleby. Usycha. Ja zresztą rezygnację złożyłam...

Jednym słowem, aktyw albo zniechęcony, albo „rozpadł się". Ona poda się demonstracyjnie do dymisji, a świetlicę przeniosą do Ostroroga i wszystko będzie w porządku. Tymczasem w Szczepankowie jest sporo młodzieży, która garnie się do świetlicy, mimo iż niczym się jej nie zachęca. Danuta Wagnerówna i Maryla Wichniarkówna, piękny duet wokalny; Marian Wichniarek — ukończył kurs dla dyrygentów i mógłby prowadzić chór; Mataj Seweryn — ten znów podjąłby się prowadzić zespół teatralny. Nazwisk można by wymienić kilkanaście.

Weźmy inną sprawę — gospodarkę sprzętem świetlicowym. Dwa komplety szachów wypożyczyła Lembiczowa jeszcze w grudniu ub. r. Świderskiemu i Mendykowi. O zwrot się nie dopomina, co młodzieży uniemożliwia założenie sekcji szachowej. Radio „wypożycza" sobie często biuro spółdzielni, o pozwolenie nikogo się nie pytając. Adapter wskutek braku dozoru został zniszczony. Płyt było 22, kierowniczka pożyczyła je prywatnie Kotowi, który zwrócił... 9. Akordeon od kilku miesięcy świetlicy nie widział, stale krąży nie wiadomo gdzie. Skrzypce i basy są uszkodzone, gdyż nikt się nimi nie opiekował. I tak dalej, i tak dalej.

A przecież i aktywu by nie brakło. Oto LZS, zrzeszający 25 młodych ludzi, poza wieloma osiągnięciami w dziedzinie sportu, przygotował również udaną inscenizację na 1 Maja.

— Chętnie poświęcimy się pracy kulturalno - oświatowej — wyjaśnił w imieniu kolegów Jerzy Szewełło, zastępca przewodniczącego LZS. — Kierownictwo świetlicy musi jednak wykazać chęć do współpracy, czego dotychczas nie było.

Tu dochodzimy do sedna sprawy.

— Różnie u nas bywało — powiada pani Lembiczowa — ale ja tam nazwiskami nie będę operować, bo wieczorem nie chcę dostać sztachetą po głowie.

— Ale przez chowanie strusią metodą głowy do piasku nie pomoże pani spółdzielni produkcyjnej, nie ożywi życia świetlicowego, ani nie ukryje faktu, że wskutek pani „pracy" Szczepankowo przestało być ośrodkiem regionalnym, kultywującym piękne tradycje szamotulskich tańców, muzyki i pieśni.

A wnioski? Wyciągnie z pewnością Wojewódzki Wydział Kultury w Poznaniu; młodzież zaś szczepankowska ze swej strony postara się o to, aby regionalny zespół pieśni i tańca na następnym festiwalu zespołów świetlicowych zajął jedno z pierwszych miejsc. To sprawa Waszego honoru, Koledzy!

Ireneusz Gwidon Kamiński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Tel: Red Nacz 863-86 Tel: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-16612